

Żółta Kulka

Wojciech Kanclerz

I

Od jutra nie żyję. Dzisiaj umieram. Od wczoraj myślę. Od wczoraj czuję, że żyję. Myśl bez zastanowienia, nieprzewidywalność życia. Siła, której do końca nie można być świadomym. Popęd, który zewsząd tłamszony przeciska się każdą dostępną szczeliną, by dalej, głębiej i po swoim. Plastyczność, która sobie tylko znanym sposobem odciska się i formuje po każdej napotkanej przeszkodzie. Barwa, która nasycy się i brunatnieje, nie pozwalając do końca się określić. Istota, która z natury samotna i nie poznana, siłami z zewnątrz nakłaniana bezustannie do poddania się, do przysposobienia i dobrowolnego przejścia wzorca, nasuwana na zatłoczone ścieżki. Twarz z bliznami na nosie od patrzenia w tył i siniakami od nieustępliwości wobec przyszłego. Rysy idealne w intrygującym półcieniu niedomówienia, beczelnie tropione trupioblady światłem jednakowej równości. Wieczna ucieczka od chłodnych gablot i kolekcji, przyjemność i cud poznawania innych rzadkich okazów. Szlachetna mniejszość obłudnie pomijana domniemanym dobrem jej samej. Dowód tożsamości wyśmiewany kolejnym numerem. Cudowna komplikacja porzucana dla powszechności.

II

Człowiek miewa czasem przecucia. Przecucia są jak czopki przepisywane przez znudzonego lekarza o ziemistej twarzy, traktującego pacjenta jak chorobę samą w sobie. Kilka szybkich, rutynowych ruchów ręką nad skrawkiem recepty, jedno martwe spojrzenie na tle białego kitla – Następny! Przecucie jak podstępna kapsułka zachodzi człowieka od tyłu, rozpuszcza się w całym organizmie, przygotowuje podłoże do spektakularnego rozwiązania, przedstawienia, widowiska, które zgryźliwie ma być obwieszczeniem dowodu mocy przewidywania zdarzeń. Ostatni miesiąc. Głupota. Nie wierzę. Odwracam się od własnych myśli i mówię do młodej sprzedawczynie, której rysy twarzy określają pryszczate brodawki, że w następnym miesiącu zapłacę. Jej oczy, wydawało by się jedyne spośród żywych części jej ciała, powoli zwróciły się w stronę poplamionego zeszytu pod ladą. Z kaligraficzną niemal starannością dopisała do długu – Następny! Durna baba, za miesiąc to ja.... Znowu myśli, sam się na nich łapię, jakbym miał całe pudelko czopków w dupie. Człowiek często ma tendencję do zapętlenia się, obracając własne myśli w złudzenia, drwiąc z nich. Operacja abstrahowania na abstrakcyjnym pojęciu uwikłanym w ludzkim umyśle. Pieprzyć to. Autoignorancja, zamykanie oczu w chwilach osaczenia przez dręczące myśli. Kiedyś mi to pomagało, jeśli myśli nie odchodziły, to przynajmniej mogłem je zgnieść ciężarem ciągle zmęczonych powiek. Dzisiaj spocony budzę się własnym głosem, jakbym przez sen

chciał przemówić do rozsądku. Sam sobie. W ciągu dnia Samego Siebie dławie Sobą jak krzyk w kościele, kiedy stara baba nadeptnie ci na nogę. A ich to zawsze było niespożyte ilości. Stare i pomarszczone, z małymi bukietkami sztucznych kwiatków o wyblakłych kolorach wpiętych w wymyślne kapelusiki, beretki, zatechłe, gruboskórne płaszcze. Kiedy byłem mały, chwaliły mnie, bo nie lubiłem żydków. Kimkolwiek oni byli naprawdę. Ja zaś tolerowałem te dziwne stwory, których niezliczone zastępy nigdy nie wiadomo skąd się rekrutowały, bo wiedziałem, że to one przybiły do pała z poprzeczką tego Jozue, co to królem miał być nawet dla mnie. Nie pamiętam momentu, kiedy zorientowałem się, jak daleko nasze państwo leżało od tamtej bajkowej krainy. No a bez tego to cały ten interes by się na pewno tak nie kręcił. Dobrze kombinowałem, że jeśli taka mała gnida ministrant jak ja mogła na sprzedawaniu pobożnie walczących o rację gazet zarobić na rower, że nie wspomnę tych ‘napiwków’ od prawdziwych katolików, co to ich żony szturchały łokciem, żeby dali dziecku pieniędzy, bo to przecież deszcz, bo to mróz, bo to gorąco, to nie dziwne, że taki dorosły czarny z rozporkiem po szyję mógł z Bogiem jadać, z czystym sercem i rękoma spijać nektar z jego ust. A i jeszcze skapnąć zawsze mogło poplecchnikom z wiarą w sercu. Potem przyszedł czas nienawiści, kiedy we mnie miał zamieszkać Diabeł. Tak mówili. To On nauczył mnie grać w karty, pokazał błogość używek, zapuścił spięte gumką włosy no i to on nie pozwalał mi wracać na noc do domu. W sumie to grunt rzeczy polegał na tym, że nie robiłem znowu rzeczy poza ich normą, po prostu dziwnym trafem

zostałem przepchnięty na drugą stronę barykady. Jak się później dowiedziałem, to się nazywa polityka, społeczeństwo czy coś takiego. Któregoś niedzielnego poranka, kiedy wchodziłem do kościoła popychany i szturchany przez niecierpliwą masę łaknących łaski pańskiej, zobaczyłem jakąś skuloną postać z okrytą kapturem głową, siedzącą pod murem dzwonnicy. Rozpuszczony we krwi czopek dotarł do głowy i pchnął ciekawość w tamtą stronę. Wyrwałem się z tłumu i podszedłem do zgarbionej postaci. Kim jesteś? Dlaczego nie wchodzisz? Jestem Diabeł. Po tych słowach usłyszałem cichy, gorzki śmiech. Fajnie tu macie, śpiewacie sobie, dostajecie dobre rady, no i łaski pańskiej pod dostatkiem. Stadko jak się patrzy. He he. Nim się obejrzałem, w odległości trzech metrów pojawił się dozorca z miotłą i zaczął na wpół ściszonego głosem, co by czasem jakimś trafem nie usłyszano go w kościele, wymyślać zakapturzoną postać od zdrajców i kazał mu się wynosić. Zdziwiony i jednocześnie oburzony zapytałem, czy to godzi się odmawiać komuś wstępu na teren kościoła, toć to wola boża garnąć do siebie swoje owieczki. Niestety tego typu argumenty nie docierały do dozorczy z wielkim drewnianym krzyżem na piersi. Dobrała się para, jak taki z niego twój kolega to zabieraj się razem z nim, jazda mi stąd, ale już! Chodźmy stąd, bo jeszcze na nas miotłę połamie, poniszczy dobra z pańskiego przybytku. I tak zaczęła się podróż po niezbadanych dotąd przez młody umysł dróg wiodących poza bramy pozłacanego przepychu nadziei, wiary i miłości wysadzanych brylantami przejrzystych duszyczek. Teraz chłopcze jesteś wyrzutkiem, tak jak ja, jeśli chcesz wrócić,

musisz na kolanach się kajać. Bóg na pewno ci wybaczy, nie wiem tylko, czy ludzie mu na to tak łatwo pozwolą... Wspomnienia, wspomnienia, kolejny autobus uciekł, następny bezczelnie się nie zatrzymał, mocząc moje nogawki błotnistą wodą z kałuży. Przez całe to swoje życie na drodze swojej napotykałem takich jak ja przepchniętych lub też nie na drugą stronę; dziwki i aktorzy, narkomani i schizofrenicy, depresanci i samobójcy, myśliciele i biedacy, alkoholicy i zboczeńcy, romantycy i ciężko chorzy, ignoranci i agresywne świny. W gruncie rzeczy to dobrzy ludzie. Po wielu tych znajomościach, których większość była raczej powierzchowna, ta jedna wydaje się być najbardziej prawdziwą, taką, której człowiek nie wstydzi się przed sobą samym. Znajomość z własnym diabłem. Nawet jeśli miała się skończyć w sposób co najmniej bezsensowny, rozpływając się jak kształty za horyzontem. Jutro się zabiję.

III

Myśl narodzona jeszcze pod śpiącym całunem równego oddechu rozkleiła powieki i stanęła przed oczyma jak rozwścieczony klawisz więzienny – Dlaczego ty jeszcze żyjesz!? Wstawaj, wstawaj by umrzeć! Jakże nierówna była to walka, kiedy do rozbudzonej już nieco bardziej głowy przyszła myśl kolejna – kawa i papieros. Otępiały automatyzm ciała pozwalał na coraz to gwałtowniejszą zbieranie gryzących się postulatów, tez i wniosków,

pogmatwanych przez tak wczesną jeszcze porę dnia. Już nad gazetą pojawiły się pierwsze obrazy z widzianych kiedyś filmów, na których samobójcza śmierć gloryfikowała szarego człowieka unoszącego się honorem, czy czymś takim. Honor z garścią tabletek w dłoni, dobre sobie. Kontaminacja znaczeń niepostrzeżenie już chciała się werwać na plan pierwszy, mimo to jednoznaczność rozlanej na podłogę kawy spowodowana krótką zadumą rozwiązała te górnołotne mrzonki. Szmata. W dniu, w którym chciałem się zabić, przypadkiem do mojej dłoni trafiła czysta, nowa szmata. Pozorny absurd. Każda szmata kiedyś była nowa. Ja też kiedyś byłem nowy, czysty. Brąz kawy powoli sprawiał, że szmata wędła, przez chwilę ogrzał materiał swym błotnistym ciepłem, nie na długo... Brąz jednak pozostał. Wyśnić bym nie mógł tak prostego zyciorysu.

IV

Wstając z klęczek po wytarciu kawy z dywanu, rzuciłem w kąt szmatę i wykrzywiłem twarz jak w upiornym geście następującym po szklance czegoś mocnego. Chyba zatrąłem się własnymi myślami. Pieprzone czopki, każdy przedmiot zrobiony z prochów, które wzbudzają w zmęczonym umyśle nowe wiry wciągające w bezsensowne zamyślenie, czyżby to właśnie od nich miałyby przyjść ta najbardziej nieunikniona ze wszystkich znajomość? Boję się nawet wymówić jej imię... Jednak toksyczność myśli sama w sobie ułożyć potrafi kolejne litery, jakby to, że

jeszcze żyję nie miało już jakiegokolwiek znaczenia. Śmiech pojawia się pierwszy, chępliwa jaźń człowieka w ten właśnie sposób reaguje na zjawiska ją przerastające, rzeczy straszne przygniatające ogromem i niespodzianością, źrenice w ułamku sekundy rozszerzają się, skronie zaskoczone nagłą falą adrenaliny pulsują w szalonym tempie. **Mimo** to, mina głupkowatej szczerości niedowierzania szybko blednie, twarz z szybkością połączeń nerwowych pęka coraz to nowymi zmarszczkami, pogłębiając stare, starzejąc nowe. Ilustracja, jaka pojawia się w głowie, z nieporadnie nabazgranego dziecięcą ręką rysunku na kratkowanej kartce przeistacza się w ruchomy obraz prosto z kryminalistycznych wideotek, pełen surowej obojętności reportera. Złożony z pięciu kresek i koła ludzik zamazany woskową czerwienią przemienia się w błąd i bezduszną twarz wyglądającą zza zasuwanego przez gumową rękawiczkę plastikowego worka. **Epifania** dosięga w takich momentach wielu, imię boże wzywane jest nieustannie i z niespotykaną dotąd gorliwością, w obliczu druzgocącej wiadomości wieszczącej ewentualny koniec, człowiek stara się jej przeciwstawić równie silną moc. **Rozum** nagle traci swój bezczelny empiryzm, w jednym momencie światem zaczynają władać duchy, wyrosłe po dotychczas wyśmiewanej i nieistniejącej stronie życia. **Ćwierk** najbardziej pospolitej ptaszyny zza okna w jednym momencie wzbudza w umyśle falę tęsknoty za wszystkim, co przyjdzie opuścić... Dość! Co za głupota, stałem tak w zastygłej pozycji na środku pokoju, zgarbiony wpatrywałem się w płamę na dywanie. Szybkim ruchem głowy strząsnąłem z niej tę spiętrzającą się stertę chaotycznych

przemysleń i chwyciłem wiszące na krześle spodnie. Sprzączka od paska cicho zabrzęczała, po czym skryła się pod czernią grubego swetra. Do wiernie pilnujących drzwi butów rzuciłem zmęczone słowa - Musimy stąd wyjść.

V

Wszystko, tylko nie wyjątkowość. Tej nie zniósłbym w taki dzień. Schody były śliskie jak zawsze, nic nadzwyczajnego. Po zejściu z dwóch pierwszych partii przypominałem sobie, że zostawiłem w mieszkaniu papierosy. Nic nadzwyczajnego. Zapominałem od zawsze. Rozpiętość i wszechstronność tej przywary w zadziwiający sposób towarzyszy człowiekowi, pokrętnie to gmatwając, to rozplątując linę, po której się wspinamy. Wyobraziłem sobie tę paczkę papierosów, jak z rozerwaną banderolą na ustach rozdziawia tę swoją paszczę wypełnioną pomarańczowymi zębami. Kilka ubytków dzisiejszym porankiem, pomyślałem rozbawiony. Z lekkim uśmiechem na twarzy włożyłem klucz do zamka, nie zdążyłem go jednak przekręcić, po tym jak został mi wyrwany z ręki brutalnym ruchem otwieranych z drugiej strony drzwi. W progu ujrzałem lichą postać ubraną w wysłużony szlafrok z frotty, przewiązany w pasie niedbałą kokardą. Starszy mężczyzna z papierosem w ustach zmrużył oczy i spoza leniwego kłębu dymu wypowiedział zwyczajne 'Słucham'. Zamurowany pomyślałem, że pomyliłem mieszkania, lecz już w chwilę po tym stało się to niemożliwością. Numer

mieszkania na drzwiach, moich drzwiach i wewnątrz mieszkania, mojego mieszkania, wzbudziły we mnie oburzenie i złość. Cholerna wyjątkowość, zakradła się do mojego mieszkania w najmniej oczekiwanym momencie, i w dodatku pali moje papierosy, pomyślałem. Co pan robi w moim mieszkaniu, do cholery!? W odpowiedzi padło pytanie, ‘przepraszam, kim pan jesteś?’. Wściekły chciałem coś powiedzieć, lecz człowiek w szlafroku uprzedził mnie wyrzucając z siebie sylaby z akcentem majstra budowlanca. Aaaa, pan jesteś ten, co tu mieszkał przede mną. Co on pieprzy! Jak to mieszkał, to jest moje mieszkanie! Koścista ręka intruza wyjęła papierosa z ust i z największą uwagą, by nie rozsypać popiołu na podłogę skierowała się do popielniczki stojącej w głębi przedpokoju, przywiezionej lata temu z Egiptu. Przez krótką chwilę twarz faceta zasłaniały drzwi, wtedy to zaczął kolejne zdanie w tej groteskowo zadziwiającej rozmowie. Niestety pan już nie posiadasz tego mieszkania, padły przygłuszone warstwą drzwi słowa, po których twarz znowu się pojawiła w progu i dokończyła zdanie: przecież pan nie żyjesz, eee zdaje się, że od dzisiaj, czy jutra.... Krew momentalnie spłynęła mi z twarzy, niedorzeczność usłyszanych słów zdumiała mnie do tego stopnia, że nie potrafiłem wykrzesać z siebie żadnej riposty. Wzrok mój pytająco zdębiały wlepiony był w pożółkłą twarz zmarszczonego karakana. Widząc to, facet przybrał postawę zmieszanego, jakby to on miał być poszkodowanym, czy też urażonym w tej sytuacji. Ja mam na wszystko papiery, nic wbrew prawu, wejdź pan, wyjaśnimy sobie wszystko. Odruchowo wyjąłem klucz z zamka i wszedłem do środka. Facet szukał czegoś po

kieszeniach oliwkowej zieleni mojej kurtki, niedbale przerzuconej przez oparcie łóżka. Tego już za wiele, pomyślałem i z zaciśniętymi pięściami miałem się rzucić na skurwiela, ale on znowu mnie uprzedził i z kieszeni wyjął opakowanie jakichś tabletek. Niedbałym ruchem otworzył je, tłumacząc mi: mam tu rejestr pana myśli, tych najbardziej znaczących dla sprawy, ma się rozumieć, wszystko tam jest napisane, rozumiesz pan... Kiedy wyjmował z opakowania ulotkę, po podłodze rozsypały się obłe kształty czerwonych pigułek. Oślupiał wśluchiwałem się w to, co czyta, lecz spośród niewyraźnie i z lekkim seplenieniem wymawianych sylab wyłowiłem tylko ‘Jutro sje zabije’. Myślałem, że zemdleję, nagle fala duszności zmogła mnie i brutalnie zwała na fotel, mój fotel. ‘Już nie mój’, powiedziałem na głos jakby do siebie, urywając tym samym sepleniący odczyt. Popatrzył na mnie kładąc ulotkę na stół. Sam pan widzisz, wszystko jest w jak najlepszym porządku... zawiesił głos w gardłowej pauzie, jakby czekał na to, co stanie się dalej. Wstałem szybkim ruchem z fotela i trącając butami rozsypane po podłodze pigułki zabrałem wyszczerzoną paczkę papierosów ze stołu, kurtkę z oparcia krzesła, po czym nie oglądając się za siebie wybiegłem z mieszkania.

VI

Twarz zboczona upokorzeniem wyjawienia najbardziej intymnych tajemnic schłodziła swą nienawiść dopiero w

przedsionku wyjścia z budynku, jakby przygotowując się do wystąpienia w codziennym ulicznym teatrzyku ulicy. Myśl o wyjściu na zewnątrz przebiegła mi po kręgosłupie jak trzy krople zimnej wody, kiedy tak bardzo chce nam się pić... Spiżowa klamka, która pamiętała jeszcze czasy prawdziwych marszałków, jęknęła zimnym skurczeniem się sprężyny w zamku, bezwiednie puszczając skrzydło do wewnątrz. Bałem się jak najbardziej prawdziwie, nie chciałem doznać tego upokorzenia przed jeszcze większą publicznością. Mimo to, nie miałem wyjścia oprócz tych jednych drzwi, świat stał przede mną tym prostokątnym otworem, zasysał mnie na zewnątrz, zamiatał, czyścił komórki przed oględną wizytacją ciekawości. Kto mógłby być ciekawy moich tajemnic? Pomyślałem, brak znajomości, czy to przez sakrament zapomnienia, czy też przez profanum całokształtu społecznego, zawsze dawał ten gałganiarski komfort niezblizania się do kogokolwiek, ucieczka nie była potrzebna, interesy szły świetnie. Tym razem jednak próba była jak najbardziej prawdziwa – zero powrotu, możliwość wszystkiego w zamian. Trzy głębokie oddechy doprowadziły mnie do zadyszki tysięcy kroków, jakie ujrzałem na łysych łbach bruku ulicy, zamszowe kozaczki, pastowane półbuty, zbłocone filce, zaśmierdłe poliestry, skórzane pokoleniowce, twarze na butach, twarze w kałużach, sznurowadła zamiast zębów... Szybko odpaliłem papierosa, mając nadzieję na chwilę do zastanowienia. Nie, to nie niemożliwe, świat nie mógł się tak bardzo zmienić, widziałem go niecałe kilka lat temu! Rzecz tkwi w materiale, rzekła moja wyobraźnia, nieważne, że jestem spóźniony, ważne, że jeszcze żyję, sam dla siebie,

roślina musi mieć jakąś pożywkę, żeby odgradzać się dla własnego przydziału światła. Moim światłem był żarzący się papieros, ożywiający się szczerze wraz z kontaktem z moimi ustami. Pasożyt czy symbioza? Zapytałem sam siebie, nie wiedząc co dalej czynić. Drżałem jak poranne wspomnienie alkoholika, jednak to południe gorzało już miejskim rykiem targowych gardeł, łaknących towaru, plotki, rewelacji, nowinek, fasonu, pieszczoty, zbóżnych wynalazków, wszystko to było połykane z samego rana. Teraz grdyki spuchnięte, tępo próbujące łyknąć mą twarz, wymiotowały pod me własne buty, bo nie mogły już więcej, chciały iść do domu, chciały z całego serca, o ile je jeszcze miały, zgnić między podłokietnikami swoich foteli, utonąć w nieprzytomnym upojeniu po dopołudniowym opychaniu się wszelką rewelacją. Świat nie będzie nigdy mój, pomyślałem, będąc jak najbardziej zdeterminowanym do poczynienia pierwszego kroku w ten ściek. Krupier losu szeptał za uchem, że przecież i tak nie mam nic do stracenia, jego ciepły oddech miał dodać mi pewności siebie, tymczasem wystygł prędzej niż niedopałek mojego papierosa, gasnącego w błotnistym lustrze kałuży. I stało się, prawa podeszwa zmarszczonego buta uniosła się lekko i powinęła w przód, zakreślając swą krawędzią połowę nieregularnej elipsy. Jeszcze sucha, jeszcze niewiedząca, co ją czeka, niewinna, acz z doświadczeniem, zdawałoby się nie miałym, parła naprzód. Wzrok mój utkwiał na wierzchu buta, bo podeszwy raczej zobaczyć nie mogłem, a kiedy ten dotknął ulicy, zewsząd wezbrał się niebywały zgiełk, krzyki, tumult niesamowity, rozrywające czaszkę gwizdy,

ciężkość stąpania stalowych koni, wielki kocioł z poluzowaną membraną...

VII

Będę pisał! pomyślałem, a wykrzyknik stojący za tą myślą miażdżył wszelkie sprzeciwy, które w jakimkolwiek sposób mogłyby odwieść mnie od tego pomysłu. Będę pisał we własnej pamięci, na własnej pięciolinii, stworzę pamiętnik świata niedostrzeżonego, kradnącego pomysły z zewnątrz. Nie dam się pominąć we własnej opowieści, nie chcę więcej spać w obcym łóżku zwanym krótką wzmianką świętej pamięci zapomnianego po tygodniu. Tylko ja jestem w stanie sprostać temu ścierwu, jakie toczy i przelewa się po bruku, tylko ja chcę to naprawdę zobaczyć... Pisać wszystko, co tylko głowa przepuszcza przez swą ciasną przestrzeń. Cóż z tego, że ten wielbłąd świata ledwie jęzor włożyć może w ucho igły mojej wyobraźni, nie czuję się zażenowany z tego powodu, to nie ja jestem tak niemądry, by próbować wcisnąć się w każdy kąt ludzkiej wolności. Całe swoje krótkie życie walczyłem ze stworem w swojej głowie, którego zaszczepili mi ci z góry, ci z góry i przeszłości. Najgorsze jest to, że przeszłość wcale nie zaszkodziła im, by nadal być na górze, by nadal dojeżdżać tego wielbłąda z czerwoną uzdą w pysku... w teraźniejszości.... Teraz to ja muszę być własną przeszłością, teraźniejszością i swoim końcem. Ostatnia szansa, by zachować twarz.

Oszukiwałem się? Całkiem możliwe, lecz nie było czasu, by się nad tym zastanawiać, przed zachodem słońca, jakim był ten prąd unoszący wszelką zgniliznę na wierzchu, musiałem zostać bohaterem. Nigdy nie chciałem być bohaterem, nadal nie chcę. Mimo to, środek znajdował się właśnie tam, pośrodku rzeki plugastwa, kierunku którego wektor utkwiał mi pod powieką, kalecząc białko, czerwienią zaznaczając każdy spostrzeżony przedmiot, lichą rzecz, skurwioną rzeczywistość. Przestałem liczyć kroki, kiedy natknąłem się na pierwszą osobę z tłumu. Miała wyschniętą twarz, tak jak indiańskie skalpowane miniatury, nagie różowe dziąsła meły jakieś słowa, może nawet modlitwę do świętości ogólnie tutaj znanych, jednak nie rozumiałem ani słowa. Wyraz tej twarzy domagał się czegoś, toczył ropę jakiegoś cierpienia, nie wiedziałem, co mam począć. Wtem z każdej ze stron wezbrał się zimny wiatr, włócząc brutalnie postacią w moim polu widzenia, bezwzględnie objijając ją o latarnie i betonowe kosze. Nie, pomyślałem, to tylko moja chora wyobraźnia. Niestety nie dano mi nawet zastanowić się nad protestem mojej myśli, gdy po chwili krótkiej jak elektryzm spojrzenia płci przeciwnej dostarcza rodowodu myśli bliskiej cielesności, rozważanej na tle niemożliwego, domniemanego, marzenia, czasem stojącego się prawdą. Z każdej ze stron, z której wcześniej wiał wiatr, zaczęli się zbiegać panowie w smokingach, w czarno lśniących melonikach, z parasolkami w dłoniach, którymi wymachiwali we wściekłych gestach, które podkreślała czerwień ich krągłych twarzy. Czyżby obojętność spuchniętych gardzieli przezwyciężona została przez purpurę wściekłości okolicznych gentlemenów? ‘Gud Gud’

słyszałem zewsząd, przeraziłem się, sparaliżowany od stóp do głów, nie wiedziałem, co mam dalej robić, zacząłem biec, byle dalej, byle szybciej, oddech nie nadrabiał za krokami, bałem się do granic możliwości ludzkiego lęku, po przebyciu kilkudziesięciu metrów zobaczyłem otwarte drzwi jednej z kamienic. Szybkim ruchem nachyliłem całe swoje ciało w lewo, po czym już tylko krótkie staccato schodów dzieliło mnie od piwnicy... Gud – słyszałem kiedyś podobne słowo w mowie jakiegoś rosnącego Duńczyka, zdaje się że to bóg, czy też Bóg, czy ta ciemność piwnicy wypełnionej stęchlą wonią odpowiednim jest miejscem do takich analiz, nie byłem pewien... Bóg może być wszędzie. Strach też. Że też nikt na to nie wpadł, że to może być jedno i to samo. Nierówność ściany, o którą się oparłem plecami stała się na krótką chwilę przyjacielem. Jakby stworzona dla zgarbionej litery S mojego kręgosłupa. Zamknąłem oczy, jeszcze tylko krótki zgrzyt mojego buta i oddech zaczął się wyrównywać. Ktoś zamigotał w mojej głowie. Mocno ściśnięte brwi i pomarszczone czoło dawały obraz twarzy niezwykle skupionej. Nic podobnego, ten człowiek cierpiał. Od lat nie słyszał takich okropności. Świat jego najpierw naciągnął się i zbladł jak guma łącząca dwie metalowe kule, a zaraz potem wszystko spowite zostało cierpkim wybuchem nieznanym dotąd upokorzeń. Kule życia naładowane były prochem.... nie, to nie ja, mogę przysiąc. Twarz okolona była z dwóch stron dłońmi, paznokcie widziane z boku wyglądały jak szerniałe zęby upiornej paszczy, pożerającej tę że twarz. Powieki drżały, usta drżały, podbródek dygotał. W miarę jak mój oddech stawał się coraz to wolniejszy, twarz robiła się coraz

mniejsza, lecz nie dlatego, że się oddalała. Ona kurczyła się, robiła się coraz to bardziej pomarszczona, coraz to bardziej obrzydliwie przestraszona. Dłonie natomiast pozostawały cały czas takie same. Zębiska zbliżały się do siebie powoli, między nie bezwładnie wsuwały się włosy kurczącej się czaszki.

VIII

W kucki oparty o zimną ścianę podniosłem głowę i nie otwierając oczu oparłem brodę o kolana. Musiałem chyba przysnąć. Zdrętwiałe i mrowiejące kończyny odmawiały posłuszeństwa, a każda próba autoterroru kończyła się zjadliwymi syknięciami spowodowanych odczuwanym bólem. Co robić, co robić... W moim państwie nagle nastąpiło rozdwojenie władzy. Na tę piszącą i na tę opisującą. Niema dotąd piwnica przemieniła swoje oblicze w trybunę pospółstwa dopingującego każdą ze stron. Głosy, gardła wymięte ciuchy stanowiły tło. Pióro nie miało już znaczenia w tworzeniu, już tylko ciosy mogły stanowić siłę przesłania. Nigdy już tak nie będzie! Skandowali opisujący, groźne kulaki migotały sinymi od stanowczości kostkami. Jeszcze przez krótkie ułamki chwil widziałem i drugą stronę, lecz po równie krótkim czasie okazało się, że piszę tylko ja...

IX

Nie jestem zły, nie jestem przerażony. Nie jestem tym, czym chcieli mnie uczynić. Nie jestem znamionem nowego, nie jestem refleksją minionych lat. Nie należę jednak i do tych czasów, w których mogłem zobaczyć miłość, starość i poczuć słodycz udziału w najbardziej nieprawdopodobnych zbiegach okoliczności. Nie jestem chcianym towarem, poszukiwanym na rogach i w ciemnych uliczkach. Nie jestem pewnością lepszego jutra, nie zakładam się na pieniądze i nawet nie wiem, czy potrafię opowiedzieć o najwspanialszej rzeczy na świecie. Nie lubię wymalowanych kobiet, choć w niejednej się zakochałem. Nie stanowią praw, co dla których krawędź ludzka przestaje być ważna. Nie pragnę wyprzedzeń, nie spieszy mi się nigdzie. Nie jestem częścią ludzkości, jestem człowiekiem, już sama różnica słów o tym świadczy. Nie staram się trafiać w sedno, to zbyt łatwe. Nie jestem życiem, bo ono śmieje się i tańczy, nie jestem dobry, bo dobroć rozdaje z pustki, a mnie wypełnia niechęć i z troskanie. Nie jestem śmiercią, bo śmierć stwierdza bez apelacji. Nie jestem sumieniem, bo sumienie jest sitem, a ja puszczam was wszystkich wolno. Nie jestem planetą, bo moje Słońce zaszło już dawno, nie jestem i jego dzieckiem, bo noc przyniosła mnie na świat. Nie jestem skrytobójcą, potwarz nagle boli bardziej, ale nie ja jestem tym błyskiem sztyletu, który tak fascynuje innych. Nie jestem inny, bo inni już dawno okupują wszystkie miejsca. Nie jestem Araratem, choć jak on wśród obcej stoję ziemi, ogrodzony zasiekami.

I nie czuję się urażony, bo już wcześniej wycofałem się z tej gry. Jednego tylko nie wiem, jaki nie będę...

X

Znów sięgnąłem do kieszeni po papierosa. We wszystkich opowiadaniach najgorsze są te części, gdzie autor nie potrafi utrzymać tak zaskakująco enigmatycznej postaci swoich słów, stara się tylko wyrobić normę. Ja nie mogłem sobie na to pozwolić, że wszystkich rzeczy na Ziemi papieros był zawsze krótkometrażowym posiadaniem wszystkich mocy potrzebnych do supremacji. Trzask zapalki, po kilku próbach przeistoczył się w leniwą chmurę pierwszego macha, który trzymałem uprzednio w płucach tak długo, ile tylko mogłem. To chwila dla mnie, i nic wam do tego.

XI

Śmiech jednak nie nadszedł. Panika zagrała pierwsze skrzypce, choć skład miał być istic rockowy. Ukazywanie i postrzeganie rzeczy, których nie chcą widzieć inni zmusza do pewnej dyscypliny, sprawia, że rzygać się chce na widok starcia się pieniądza z lichym kupczeniem własną dupą. Wulgarne, ale jakże prawdziwe... Człowiek wstaje, upada, wstaje, upada, i tak po wielu próbach potrafi chodzić.

Wydaje mu się, że jest wobec siebie uczciwy, skoro polegając na własnych możliwościach stara się bronić swoich przemyśleń. Zbierając doświadczenia notuje je w głowie, plami kartki, wyrywa, zapomina uporządkować, podarowuje komuś w prezencie, nie przykładając nawet do tego wagi. W pewnym momencie gubi się, tempo chodu zaczyna świdrować w głowie, monotonia zatracą zachwyt, obłąd wypiera stateczność. I pojawia się wtedy wewnętrzna niechęć do tej nabytej umiejętności chodzenia, na własne życzenie człowiek pragnie zełgać i pełzać, zeszmacić się, sprawić ból, obojętne komu i gdzie, wyrzucić tego słonia ze złotym baldachimem na grzbiecie. Kolejne wpompowane w siebie szklanki rozmywają to dumne zwierzę, fosforyzujące fale napływają w pole widzenia. Ciepło w środku uświadamia beznadzieję, zmusza do odliczania tych minut, które za każdym razem są ostatnie, bo później znowu trzeba będzie chodzić...

XII

Synkopowym przedtaktem odbiłem się plecami od chropowatej ściany i wszedłem w blade światło, które snuło się po schodach do wyjścia na parter. Wolne i ciche dźwięki akordeonu wprawiały mnie w nastrój, jak to wyrazić... na pewno nie lepszy, ale za to jakby ciekawszy, strumień dźwięku wzrastał wraz z każdym krokiem wzwyż po schodach. Pewien byłem jedynie tego, że wydarzyć się może wszystko, wystarczyło wspomnieć wszystkie te

rzeczy od rana. Stojąc przed drzwiami prowadzącymi na tę straszną ulicę, nie mogłem dojrzeć niczego przez grube kolorowe szkło świetlika. Wyciągnąłem dłoń w stronę klamki, akordeon jak na zawołanie wszedł w pulsacyjne vibrato, z każdą chwilą skracając falę i stając się coraz to głośniejszym. W niepewności potarłem palce dłoni, czułem się jak pacholę skryte w szafie przed rodzicami, nie wiedząc czy może już wyjść, czy zostanie lanie, czy też złość została w końcu rozładowana i wszystko skończy się w objęciach matczynej dobroci i wybaczenia za pyskaty występki. Nie mogłem dłużej czekać. Spośród wibrujących sekund akordeonowych słyszałem niemalże jednostajny dech miechu, który zdawał się dąć prosto w drzwi, by je otworzyć. Nie, nie mogłem dłużej czekać. Będzie co ma być. I już prawie dotknąłem klamki, kiedy na klatce schodowej rozległ się odbijany echem chrzęst zamka. Zdezorientowany spłoszyłem się jak bezbronne zwierzę, chwyciłem natychmiast za klamkę i pociągnąłem drzwi. Wtem jak grom prosto z nieba całe moje ciało uderzone zostało nieogarnioną falą dźwięku. Zamknąłem oczy. Do akordeonu dołączyły skrzypce i kontrabas. Tango, tango, niech mnie szlag!!! Urywane akcenty rozbrajały resztki mojego zdrowego jeszcze do niedawna rozumu. Lecz rozum nie słyszał tych dźwięków, słyszały uszy, głowa, płuca serce, całe ciało, ale na pewno nie rozum. Rękami wyobraźni rozgarniałem gęste pukle rudych włosów, gęstych i nie do opisanie miękkich. Czułem, jak przelewają się przez palce, jak wciągają mnie gdzieś w głąb, biło od nich przyjemne ciepło i blask tak złociście doskonały, aż hipnotyzujący. Nie potrafiłem się przeciwstawić tej

mamiącej sile, ciągnięty prawdziwym pożądaniem czulem, jak kosmyki pieszczą całe moje ciało, płynąłem w nich niemalże. W takt tango. Po krótkiej chwili spomiędzy rudych zasłon zaczął prześwitywać uliczny bruk. Otworzyłem oczy, a dokładnie w tej chwili do instrumentów dołączyły dwa głosy, męski i żeński, w lirycznym dwugłosie nasuwające skojarzenia z czymś nieskończenie prawdziwym. Toczyłem swój wzrok po bruku, aż moje pole widzenia przecięły dwie pary błyszczących butów i rąbek długiej, czerwonej sukni. Para, pełna gracji i skupienia sunęła w notorycznym tango, obejmując swym czarem niemal całą ulicę. Jakże niezdolnie przyjemnie było patrzeć na te dwa ciała, zlewające się w jeden z tych pukli rudych włosów, ciepły i z najwyższym polotem splatający się w zdumiewające figury, nigdy się jednak nie suplający.... Patrzac tak na tę prawdziwość, tak prawdziwość, to jedyne słowo jakie przychodziło mi na myśl w tej chwili, nie zdawałem sobie sprawy, że dokoła obecny jest tłum ludzi. Dotąd szary i niewyraźny, powoli nabierał ostrości. Ściany kamienic oblepiały szeregi twarzy, starych, młodych, nędznych i pomarszczonych, wszystkie bezlitośnie zapatrzone były w tańczącą parę. Płaszczyna ich ciuchów przypominała jeden wielki sznur upleciony z różnych gałganów, suplany i poskręcany wiele razy, za każdym zaś razem, gdy któraś z postaci się poruszyła, sznur wydawał się motać jeszcze bardziej. Taniec tła – pomyślałem. Oczy zwróciłem na powrót w kierunku tańczącej pary. Usta kobiety, czerwone jak jej suknia, lekko drgały, odbijały refleksy ulicznych latarni, zdawały się być ciągle spragnione, mające ochotę,

niezaspokojoną chęć odczuwania muskań powietrza przy każdym zawirowaniu figur. Zmrożona zaś twarz mężczyzny lgnęła do ust, napięte wszystkie mięśnie usiłowały zbliżyć dwie fioletowe kreski warg do czerwieni pełnego kształtu ognia. Co wzbudzające zdziwienie, to on pożałował, a ona była zimna. Po uzmysłowieniu sobie tego, odwróciłem głowę w prawo, by potwierdzić moje przekonanie w spojrzeniach tł. Nigdy nie widziałem takiej fascynacji, takiego wzruszenia i takiej zgodności tylu par oczu, które wodziły wzrokiem za parą. Nawet najbardziej mętny i zmęczony wyraz wygięty został w pełny kształt oddania, uwielbienia wręcz. Wpatrywałem się kolejno w każdą twarz. Z na wpół otwartych ust wystawały pożółkłe zęby, niekiedy jakiś zbutwiał koniuszek języka, twarze dzieci pokryte były tłustymi plamami, odbite palce, resztki mleka na brodach. Z ust starca w dziurawym kapeluszu zwisała drewniana fajka z ebonitowym ustnikiem. Nawet ulatujący z niej dym oczarowany był magicznym tańcem, bo chociaż nie dawało się odczuć wiatru, ulatywał z cybucha i nozdrzy wprost na środek ulicy, na brukowy parkiet. Nie widziałem tylko orkiestry. Chciałem odszukać ją wzrokiem, lecz w tymże momencie dał się usłyszeć złowrogi warkot z głębi ulicy. Tłum ogarnęło poruszenie, wystrzępione postacie zaczęły się nerwowo tłamsić, przepychać, tworzyć małe grupki, w których decyzje zapaść musiały w sekundzie. Oniemiały stałem nadal na środku ulicy czując na ciele dreszcz od coraz to bliższego warkotu. Kiedy warkot przewyższył już swoim nasileniem melodię tanga, oczy moje nie mogły uwierzyć w to, co widzą. Na twarzach dotąd zachwyconych pojawiło się przerażenie i bezradność,

i coś jeszcze, czego nie mogłem określić. Posłuszeństwo? Komu? Czemu? O co chodzi!?! Wreszcie te same niedowierzające oczy zobaczyły wielkie ciężarowe samochody, warkotem spychające ludzki lęk pod ściany kamienic. Stałem nadal jak ten słup soli, i pewnym jest, że gdyby jedno z tych aut zatrzymało się o kilka metrów dalej, rozsypałbym się po bruku na małe kryształki. Spoza wysokich burt ciężarówek zobaczyłem wyskakujące cholewy i ciężkie podeszwy wojskowych butów, a niedługo potem przekonałem się o mylności co do warkotu silników. Nie silniki warczały, a szeroko rozdziawione gardła przewiązane skórzanymi paskami poniżej podbródków. Niektóre gardła warczały poganiając przerażonych ludzi, kilka innych rozkładało wielki niebieski wór na środku ulicy. Znad błękitu worowatej płaszczyzny ujrzałem dwie podłużne krople czerwieni. Ten sam żar ust czerwonej sukienki godzien zachwyty jeszcze przed chwilą, teraz gdzieś zniknął a same usta budziły litość swym drżeniem. W przerażeniu tym jednak nie było udawania. Czerwień sukni otulona ramionami tegoż samego partnera zdawała się rozlewać po bruku jak krew zranionego piękna, powoli zanikała w poświacie kolejno nadjeżdżających ciężarówek. I tylko on wydawał się pałać tym samym pożądaniem, wpatrzony w gładką linię jej zgrabnej szyi.

XIII

Kiedy wielka płaszczyzna błękitu niemal po brzegi wypełniła ulicę, z jednej z ciężarówek wysiadł jakiś Ważny, a ważność jego znamionowała nagle poruszenie wśród warkoczących żołdaków. Zaczęli oni popychać tło, szturchali ich kolbami swoich czarnych karabinów. Grupki, jakie zawiązały się przed chwilą ustawiane były obok siebie pod ścianami, po obu stronach ulicy. Niezdecydowany ja, cóż mam robić?! O co tutaj chodzi?! Nerwowo rzucałem głową na wszystkie strony, miotałem się w miejscu, biec? Krzyczeć? Krzyk , i w ułamku sekundy kolejny zaraz po tym, jak dostałem w policzek drewnianą kolbą karabinu. Spoza pulsującego bólu, wirujących reflektorów ciężarówek świecących prosto w oczy, przebijał się niezmordowany warkot żołdaka. Nie mogłem zrozumieć ani słowa, rozumiałem natomiast kopniaki, które miały mnie zmobilizować do wstania na równe nogi. Próbowałem bezsensownie tłumaczyć, że rano, że mieszkanie, że tabletki, że kobieta w sklepie. Żołdak jakby nie słuchał, chociaż patrzył mi prosto w oczy. Linia hełmu nad oczami była idealnie spasowana z linią brwi. Hełm na miarę oprawcy. Kiedy zamiast słów z moich ust wydobywały się już tylko nieskładne postękiwania, oprawca pchnął mnie w stronę jednej z grupek. Poczułem się jak dziecko przesiedleńców, obmacywane spojrzeniami całej klasy. Próbowałem znaleźć miejsce dla siebie wśród tej brudnej masy, nikt nie chciał przesunąć się ani na piętę. Wtem starszy mężczyzna w wysłużonym prochowcu odezwał się w znajomym mi języku: Teraz jesteś tak samo brudny jak my, stawaj między nami, jeśli ci życie miłe. Kiedy wszedłem między nich oniemiałem. Pierwszy miejsca

ustąpił mi ten sam pieprzony kutwa, który zajął moje mieszkanie. Wzrok jego upraszał się teraz, bym nie wszczywał awantur, że nie czas na to teraz, że zginiemy wszyscy, jeśli zrobię coś głupiego. Stałem obok niego, nie odzywając się ani słowem. Wspomniany poranek wydawał się teraz tak odległy, jak odległa może być zgubiona myśl w którymś z pociągów, tak wyraźna i pamiętna w tamtej chwili, a tak nieobecna i nieistniejąca zaraz po wyjściu na peron stacji. Kiedy do naszej grupki zbliżał się Ważny otoczony strażą żołdaków, wszyscy spuścili głowy. Nie mogłem się powstrzymać, by nie popatrzeć. Co tutaj się stało w czasie, kiedy ja przebywałem na wyspie Świętego Spokoju, odpoczywając od ingerencji wszelakiej w moje własne widzi mi się? Czyż tak daleką to przeszłością mogły stać się te dni szczęśliwości, kolebka ciepło tuląca policzki we śnie strapionego? Nie mogłem w to uwierzyć, i tak moja niewiara mijała się za pośrednictwem mych oczu z defiladą pokazowej siły, zatopionej pod linią brzegową hełmów. Ważny patrzył przed siebie, choć przed sobą mógł zobaczyć tylko plecy ogromnego kanciaszobrodęgo ochroniarza. Wtem poczułem jak kolejny proszek rozpuszcza się w mojej krwi, nagle mrowienie w tylnej części czaszki dawało nieznośne przecucie nadejścia czegoś, zaraz, za chwilę, za moment, mgnienie, mrowienie, pot, zimny pot, zwężająca się źrenica oka, i.... przeraźliwy trzask talerza o tępe łby kocich łbów. Wszystko i wszyscy zamarli w jednej chwili. Po przeciwnej do mojej grupki stronie ulicy, gdzieś z tyłu rozgrywała się jakaś gorączkowa sytuacja, przesądzająca o być lub nie być. Więc to tam stała orkiestra, pomyślałem, i jednocześnie nie

mogłem dociec, jak to się stało, że nie dostrzegłem jej wcześniej. Ważny zatrzymał obok poruszającego się miejsca tła swoją eskortę i przez kilka chwil stał, wpatrując się w pierwszą linię mizernych twarzy, twarzy teraz jakby nabrzmiałych, na wstrzymanym oddechu czekających na koniec, czymkolwiek on miał być. Ważny gestem wytrawnego lwa salonowego uniósł prawą dłoń na wysokość swojej wypiętej piersi i skinął wskazującym palcem, przywołując nieznanego. Błade zasłonki dwóch pierwszych w rzędzie postaci rozsunęły się i z szeregu powoli, ale nerwowo wysuwały się dwa złote talerze perkusyjne. Nawet z tej odległości, w której ja stałem, można było dostrzec plamki rdzy na nich, i drżenie rąk orkiestranta. Ważny zmierzył wzrokiem błagającego swoją skuloną posturą człowieczka i spojrzał mu prosto w oczy, a kącik jego ust jakby uniósł się w geście napawania się własną potęgą. Oto szermierz chrobry w swym wielkości majestacie spowinowaca się z pospółstwem, nie bojąc się, że zobaczy tam coś ludzkiego, toć on sam z człowieczeństwem walczyć postanowił w imię chwały swego mocodawcy, samego boga bogów. Takie myśli przebiegały mi po głowie, a akompaniował jedynie szum pustej ulicy. Prawda, pełno było tu ludzi, lecz były to zastępy umarłych, zastygłych figur, i gdyby nie to, że każdą z tych figur cechował wspólny strach i wewnętrzne wypalenie się bohaterstwa, pomyślałbym, że jestem w muzeum. Miast muzealnych eksponatów, stałem pomiędzy żywymi trupami. Czułem się jak jedyny trzeźwy pośród sekty alkoholików obchodzących swoje święto dnia powszedniego zgonu. Biegły te moje myśli w nieznane, i

niewiadomo dokąd by mnie zaprowadziły, gdyby nie szybki gest ręką Ważnego. Pstryknął tylko palcami, i w ułamku sekundy szum pustej ulicy wypełnił się krzykiem, niemiłosiernym skowytom świadomej najgorszego ofiary. Dwóch potężnych żołdaków uniosło ręce muzykanta, który kurczowo trzymał talerze w obu dłoniach i poczęło ścisnąć nimi głowę. Nie mogłem na to patrzeć. Już to widziałem, przeżyłem już to w tamtej piwnicy, w swojej głowie, nie mogłem patrzeć na jego. Maltretowali tę biedną głowę, aż krew zaczęła gęstymi ciemnymi strużkami ściekać po żłobieniach talerzy. Suknia tancerki wydawała się przy tym czerwoniutką bajką....

XIV

Ważny z kamienną twarzą wydał jakiś rozkaz i w krótkiej chwili żołdacy podbiegli bliżej do zgromadzonych ludzi. Warkot rozpoczął się na nowo. Jak opętani, ze zdwojoną siłą zaczęli popychać ludzi, wyraźnie czegoś od nich chcąc. Krzyk konającego orkiestranta mieszał się z charczącym warkotem. Wtem zobaczyłem, jak jeden z żołdaków wydiera coś na kształt szmacianego gałgana z rąk nędznej, acz o dystygowanej twarzy starszej kobiety. Kobieta wątlými szarpnięciami wiotkiego ciała próbowała za wszelką cenę nie oddać zawiniątka. Jej dystygowana twarz marszczyła się niemalże w każdej swojej części. Czoło pokryły perliste krople potu, spływające po nim tak jak krew po żłobieniach talerzy. Stojące za nią gałgany ludzi

stały bezradnie z rozdziawionymi ustami, jak dzieci słowicze pragnęły od matki jakiejś instrukcji, ślepo kierując gardziele w jej stronę. Żołdak wyraźnie już zniecierpliwiony włożył trochę więcej wysiłku w jeden zamaszysty zwrot swego wielkiego ciała i już szara kula zawiniątka znajdowała się w jego olbrzymich łapskach. Zniecierpliwiony począł odwijać i rozplątywać poskręcane szmaty, kobieta stała z opuszczonymi rękoma w przegranej pozie, ciężko dysząc, a perły potu zlały się w jedno z nieszczęściem ronionych łez. Kiedy żołdak zobaczył zawartość, jego martwe dotąd, kanciaste rysy twarzy wygięły się w lekkie łuki zadowolenia. Nie mogłem zobaczyć, co to za skarb, czy inne cudo mogło tak zauroczyć tę umundurowaną kreaturę. Jego wielkie bary zasłaniały to coś, co z takim zachwytem trzymał w dłoniach. Jeśli jego to cieszyło, to daleki byłem od tego, by spodziewać się czegoś miłego dla mnie. Czułem się naturalną odwrotnością tych.... stworzeń. Nie mogło mi przejść przez gardło moich myśli, że mogliby się okazać ludźmi, tym bardziej ludzkimi, że potrafią do granic odsłonić człowiecze okrucieństwo. Bo jakim że ja jestem na tle? Czy w ogóle jest jakieś tło dla mnie? Kilka myśli skrzyżowanych w głowie nie jest w stanie usprawiedliwić mojej szarości, nie jest w stanie sprawić, bym choć na moment zagrzmiał po krótkim błysku. Gdy na moment soczewki moich oczu rozmazały czarne plecy żołdaka, brudne tło przestraszonych ludzi znowu wyostrzyło się brzdami ich pospolitych twarzy. Pospolitych, skąd te pochopne wnioski, skąd ta ignorancja i z góry założenia, na jakiej gorze mam się czelność stawiać, by twierdzić, że z

niej lepiej widzę....? Tłem dla mnie najodpowiedniejsza byłaby pustka, jeśli pustka widoczna może być na tle pustki... Nicość i marnota, moja głowa odleciała widocznie z tej ulicy, skoro w takiej chwili potrafiłem znaleźć w niej miejsce na rozmyślanie i uzalanie się nad sobą... Widziałem ogromny, żywy organizm z lotu ptaka. Przepasany był połaciami łąk, prostokątami pól, kwadracikami domów. Oczy tego życia jak jeziora głębokie i czyste, naiwne i uśmiechnięte. Błękitna krew płynęła swymi korytami, jak prawidła ojców, dziadów i pradziadów dziedziczona wiara. A każda komórka jak się rodziła, tak i umierała, wedle tych prawideł, oddychała, kochała, płodziła następne. Lecz na ramieniu usiadł kruk. Organizm dzieckiem jeszcze będąc zachwycił się złotym pierścionkiem trzymanym przez kruka w stalowo połyskującym dziobie. Siedziało ptaszysko na wysokim płocie, pierścionek błyszczał, pięknie refleksem rzucał na błękitne tonie jezior, mamił słodko i zapierał dech szumu w leśnych piersiach. Pacholę uniosło radośnie rączki w górę, stawało na paluszkach, by sięgnąć, i choć nie było mu łatwo, bo to rączki drętwiały, albo płot śliski do wspinaczki, wytrwale zdobyć, posiąść pragnęło pierścionek. I gdy za którymś razem już prawie złapało dziecię kruka za nogę, rozdziawił ten dziób swój przepastny i krrrrraaaa straszne nad wszelkim drobiazgiem zapanowało. Pierścionek spadał i spadał i robił się coraz większy na tle rozpostartych smolistych skrzydeł. Rączki mimo to nadal w górze wisiały, by skarbek owy ukochać i dotknąć. A skarbek większy i coraz większy, a skrzydła chmurami ciężkimi i wiatrem się wzmogły. Nim dziecię się obejrzało pierścionek zamiast do rączek, na rączki opadł i kajdanami

opasał wątle przeguby, a więzy złote zacieśniały się w miarę jak dziecię rosło. Mimo to wpatrzone w blask złota nie widziało ptaszyska, ani nie słyszało jego złowieszczonego krakania.

XV

Nie mogłem się doczekać, by zobaczyć co żołdak trzyma w rękach. Stojący ze mną w grupie ludzie zaczęli szemrać, słyszałem krótkie urywki ponagleń i rozkazów ‘schowaj, trzymaj, podaj dalej, ciszej, szybciej....’ Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem tego samego starca z fajką o ebonitowym ustniku. Jego siwa broda zdawała się zastępować mu twarz, siwe i poskręcane włosy sięgały swą linią niemalże głębokich i ciemnych oczodołów. Oczy zaś siwe były niemal jak i ta broda. Starzec mełł ebonitowy ustnik spierzchniętymi ustami, przerzucając go to z jednego kącika w drugi. Kiedy zobaczył, że pytająco wpatruję się w jego siwe oczy, powiedział krótko ‘no to się zaczęło...’ i przerzucił spojrzenie nad moim ramieniem. Obróciłem się znów w stronę ulicy, gdzie czarna kurtyna pleców żołdaka odsłoniła wreszcie rozwiązanie zagadki. W uniesionych na wysokość piersi łapskach błyszczała złota pięcioramienna gwiazda. Po żyłach, które wystąpiły na obu przegubach widać było, że szczerść złota nie mogła być podważana, mimo to ciężar gwiazdy co najmniej równał się zadowoleniu żołdaka, który tylko czekał, aż będzie mógł osobiście zdać meldunek Ważnemu o tej zdobyczy. Ważny

zauważył złocisty blask już z daleka, machnął ręką na znak uznania, po czym żołdak z pełnym ceremoniałem i poczuciem wyższości pośród jego współoprawców, podszedł do wielkiego niebieskiego wora na środku ulicy i wrzucił do niego błyszczący skarb. Choć blasku już nie było widać, to jeszcze dało się usłyszeć szlachetny brzęk metalu o nierówny bruk, jak ostatnie życzenie skazańca, bojownika o słuszną sprawę. Jak ulica szeroka i długa obecnym tu tłumem, inni żołdacy zazdrośni i zachęceni sukcesem kolegi poczęli dobierać się do pozostałych grupek, w tym i do naszej. Kiedy przed nami stanął ten sam żołdak, który uderzył mnie w twarz, jego widok momentalnie przywołał przeszywający ból. Z cwany uśmiechem na swojej gębie pokazywał jedną ręką, by mu pokazać, co tam mamy, w drugiej trzymając karabin. Kiedy wyłowił moją twarz spośród całej grupki, kazał mi się zbliżyć do siebie. Nie byłem już pewien, czy mam się bać, i tak nie miałem bladego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Stałem tak i tępo wpatrywałem się to w martwe ciało muzykanta, to w kolejne złote gwiazdy znikające w błękitnym worze. Kiedy podniosłem wzrok na znaną mi już zjednoczoną linię hełmu i brwi oprawcy, gotów byłem na kolejną porcję najpierw nieznośnego warkotu, a zaraz potem kilku razów. Lecz tak się nie stało, żołdak obniżył smolistą lufę karabinu i podszedł do mnie blisko, bliżej, jeszcze bliżej, tak blisko że powinienem był poczuć jakiś zapach, smród, odór, jaki konkretnie nie wiem, z takiej odległości każdy śmierdzi, pachnie, w takiej odległości człowiek może być pewien, czy kogoś kocha, czy go nienawidzi. Ja nie czułem nic. Jakby stał przede mną

wysterylizowany głaz. Zamknąłem oczy, byłem gotowy na najgorsze, czułem się w tej chwili jak jeden Włoch, płynący w łodzi po Styksie, lecz ja nie miałem u swego boku opiekuna, swego Wergiliusza. Napływ adrenaliny spowodował nagle zawroty głowy. Łódź zaczęła kołysać się coraz to mocniej. Zewsząd dało się słyszeć jęki sodomitów, lichwiarzy i bluźnierców. Gdzieś w oddali ujaśniał trójgłowy Cerber, brzegi bagna tylko dokoła i wzgórze, nad którym jak zbłąkana mara wisiał Gerion, ubrany w mundur i hełm obludy. Moje oczy otworzyły się, kiedy poczułem, że żołdak obszukuje moje kieszenie. Chciałem zaprotestować, lecz krótkie warknięcie i wycelowana we mnie lufa wystarczyły by mnie od tego odwieść. Sam już nawet nie wiedziałem, co może się znajdować w moich kieszeniach. Może jeszcze jakieś papierosy? Żołdak grzebał w każdej kieszeni po kolei, aż z prawej strony mojej kurtki natknął się na coś, co wyraźnie go zainteresowało. Myśli nerwowo przeskakiwały z dendrytów na synapsy, z synaps na aksony, aż w końcu przeskoki stawały się coraz większe, mieszało mi się wszystko w głowie, z dendrytu na dendryt, najpierw umarłem, potem poszedłem do szkoły, ślubu nie pamiętam, co teraz, akson-akson, co teraz, co to może być w mojej kieszeni!!? Zaciśnąłem zęby z całej siły, zimny pot jak smagnięcia bata paraliżował kręgosłup. Wreszcie po chwili dłoń żołdaka wyswobodziła się z mojej kieszeni i oczom nas dwóch ukazało się niewielkie tekturowe pudełeczko. Nie były to papierosy, były to moje myśli. Żołdak zaciekawiony otworzył pudełeczko, i wyjął plik poskładanych w połówkę prostokąty kartek. Rozłożył jedną z nich, a ze środka wypadła mała podłużna tabletką, a kiedy

dotknęła bruku usłyszałem taki sam dźwięczący brzęk, jak tych gwiazd, tylko o wiele cichszy i skromniejszy. Wtem zza pleców żołdaka rozległ się przeraźliwy płacz jakiegoś dziecka i błagalny krzyk matki, od których siłą odciągano, jak się domyślałem, ojca i męża. Kiedy żołdak odwrócił się, by zobaczyć, co się tam dzieje, szybko schyliłem się po tabletkę i ścisnąłem ją mocno w dłoni. Ten odwrócił się i popatrzył na rozłożoną kartkę papieru. Najwidoczniej nie rozumiał ani słowa, rozłożył więc następną kartkę, tym razem uważnie i delikatnie, wyjął ze środka tabletkę i z głupim uśmieszkiem na swojej kanciastej twarzy włożył ją do ust. Przekładając ją językiem w ustach wpatrywał się w tę zapisaną kartkę papieru. Nie wiedząc, co mam począć, stałem w bezruchu, żołdak nie zwracał na mnie uwagi, więc patrzyłem prosto w jego oczy. I wtedy zobaczyłem, jak źrenice zaczynają to zwężać się, to rozszerzać, na skroni ledwie widocznej spod linii hełmu pojawiła się nieznaczna rosa mikroskopijnych kropelek potu. Oczy zaczęły poruszać się, śledząc zapisane linijki, coraz to szybciej i z większym zapalem, pasek karabinu powoli zsuwał się z ramienia, aż opadł na łokieć. Oddech żołdaka zaczął przyspieszać, ręce nerwowo rozkładały kolejne kartki, a nabrzmiałe usta pochłaniały coraz to kolejne tabletki, aż w końcu żołdak upuścił karabin na bruk i począł cichym głosem czytać: ...

Pod mój dom podeszła woda

jakby wiedziała o myślach

Moich schowanych powodach

Czy po mnie przysłaś?

Uniósł na chwilę wzrok znad kartki, jakby sam nie wiedział, czy rozumie to co czyta, albo jak to w ogóle

możliwe, że jeszcze przed chwilą nie rozumiał ani słowa, a teraz jak głodne ptaszę rozdziawia swój dziób, chcąc więcej. Podniesionym nieco głosem czytał następną kartkę...

Bo nie można zabraniać kuli toczyć za brzeg, krawędź, okrainę, nie chodzi nawet o dotarcie do granicy, nie ‘widzi mi się’, nie ‘zobaczy się’, ale tak lekko ją tylko pchnąć wystarczy, żeby zobaczyć, żeby patrzeć, żeby podziwiać, jak się toczy. A czemuż to miałoby być tylko w jedną stronę, że kulka mała wtacza się gdzieś stamtąd, gdzieś zza góry, rośnie i pełźnie, i pasie się wszystkim napotkanym, a czemuż to nie z drugiej strony nie wtoczyć, pyknąć tylko małą drobinę, która nazbiera, nie nagniecie, delikatnie natykając się utka, utyka wciąż, nie wierci, lecz przysposabia, nie kłuje, lecz opływa, wypływa i wspina się na linię, na kłęb tego zwierza, granicy, siada okrakiem i śmieje się, może z początku szydzi, ale to wszystko więcej jednak niż męczenie schodów, to magnetyczna siła jakaś elipsa, choć to kulka jeszcze przed chwilą, kulka, kula po elipsie. I tak siedząc sobie pyta, czy ognia nie ma, a ma, to i rzuci na drugą stronę, i też odpali, jak ogień wróci, a wraca. Komuż spraw za wiele, by osiąść na pustoszejącym łuku... Kreska cienka łączy, nie dzieli, świat nikomu nie wydawał poleceń, robili to sami ludzie. Bez będzie w maju, nie?

Nie było rozwiązania, nie było litości, nie było miłości tym bardziej... Kula przeszła czaszkę od potylicy na przestrzał wychodząc prawym oczodołem gdzieś w górę. Nie dało się

opisać po co, dlaczego, zewsząd dał się słyszeć jedynie brunatny oddźwięk niedowierzania tłumu...

XVI

Groźba najgorszego stanowiła jedyną kompletną całość pośród milionów zagubionych i przerażonych myśli. Lecz nawet i w tym monumencie tkwiła cząstka anarchii ze względu na brak pewności co do jego ewentualnego kształtu. W zamieci terroryzującej siły krystalizowała się ogromna i żyłasta pięść, usuwając z pola widzenia wszystko pozostałe, zgniatająca to wszystko na swej drodze. Lecz to tylko pięść, za nią musiało być coś więcej, gdzieś tam, daleko i wysoko musiała być głowa. Pięść może miażdżyć głowy, lecz co najmniej o głowę wyższa od nich inna głowa tą pięścią musi sterować. Moja bezwiednie objęła się o kolana, podrzucana na wybojach nierówności drogi. Ja i kilkanaście innych jeszcze osób siedzieliśmy na pace ciężarówki pokrytej brunatną plandeką. Podniosłem głowę, chciałem dostrzec choć jeden szczegół tego drżącego wnętrza. Zastanawiało mnie, czy to ciężarówka, czy to my tak drżymy, ze strachu... Lecz poza ogółem, żaden drobiazg nie chciał się rzucić w oko, nic tylko półmrok i ciasnota, odór represji. Ktoś zakaszłał, ktoś mamrotał pod nosem. Nawet stękanie resorów było obłe i nijakie. Groźba najgorszego, chyba już tylko ona utrzymywała tę dziwną dawkę pikanterii, choć i tu nie było konkretnego. Dokąd nas wiozą, nie było ważne. Dlaczego nas wiozą, nie robiło

różnicy. Co będzie dalej, było groźbą. Nadzieja pozostała w myślach, a raczej w myśli, tej ostatniej już myśli, którą kurczowo przez cały ten czas ścisiałem w dłoni. Po krótkiej chwili pełnej pobrzdkowań zardzewiałych resorów i chrząkań stulonych ciasno ze sobą ludzi zdecydowałem – otworzyłem prawą dłoń i z najwyższą uwagą, by nie upuścić myśli na szorstkie deski podłogi, ująłem ją między kciuk i palec wskazujący lewej dłoni. Pigułka była lepiała, lekko rozmiękczonej potem, zostawiała na palcach tłusty nalot. Rozglądałem się jeszcze raz wokół siebie, lecz nikt nie zważał na mnie uwagi, nic tylko zgarbione grzbiety i kołyszące się martwo głowy. Jak marsz pijanego aleją. Ciemny park, noc, środek lata, parne powietrze skleja ubranie ze skórą. Nie jest to jednak miejsce nieprzyjemne, zieleń w pączkach latarni rozkwita na nieznany za dnia sposób, czyni to miejsce nadzwyczajnym. Ławice ciem i małych muszek tańczą wokół latarni, jakby spijały nektar ze świetlistych kwiatów, upojone nie potrafią przestać wirować, ocierać się o sedno upragnionego światła. Myśl wrastała się przez skórę, powoli przetaczała swą potęgę wprost do głowy. Nie wolno było upuścić myśli, żadnej jej części. Szybko włożyłem ją do ust i próbowałem przełknąć. Zaschnięte gardło popychało pigułkę, jak obdarty niewolnik zapierało się o wielki głaz plecami, by zepchnąć go w końcu do przepaści. Powoli, a wciąż. Na powrót schyliłem głowę i przytknąłem czoło do zwartych ze sobą kolan. Wyboje drogi obijały tę makówkę raz o jedno, raz o drugie kolano, tym razem słyszałem tylko jedno ziarenko grzechoczące w środku, już tylko jedna myśl została mi w środku. Głowa, która dotąd miała być

inkubatorem mojego własnego ja, wylęgarnią pomysłów i kłamstw, stała się gałganem lęku i przerażenia, podobnym do całej tej reszty szmacianego ludu, który zobaczyłem na ulicy i który siedział wokół mnie. Jedna tylko myśl została, z kieszeni na bruk, z bruku do ręki, z ręki do głowy, z głowy do... jakaś większa dziura w jezdni podrzuciła całym samochodem i moje kolana rozjechały się i mięśnie karku ostatnim tchem uratowały głowę od przeturlania się po podłodze. Powoli unosiły ją, głowa, choć z jedną tylko myślą w środku, była o wiele cięższa, niż jeszcze przed chwilą. Wzrok z mojego krocza przeniósł się na moje brudne buty, powoli spłynął na podłogę i rozlał się po niej wypełniając każdą napotkaną szczelinę i bruzdę. Po chwili gęsta ta maź napotkała czerwien lakierowanych butów na obcasie. Złączone ze sobą czubkami rozgałęziały się na dwie gładkie lecz posiniaczone nogi. Zainteresowany zacząłem zwracać więcej uwagi na to co widzę. Ponieważ nie potrafiłem pobiec wzrokiem po obu liniach nóg jednocześnie, patrzyłem nadal prosto, stopniowo coraz wyżej. Mała plamka podłogi a zaraz dalej dwa spłaszczone pośladki opięte czerwoną suknią. Uświadomiłem sobie w końcu, że to tancerka z ulicy, lecz nie mogłem ogarnąć jej postaci jako całości. Jej ręce splecione pod zgiętymi kolanami tuliły uda do piersi, pierś unosiła się to opadała powoli i obserwowana z mojej perspektywy ginęła pod symetryczną smukłością podbródka, który z kolei tworzył podstawę drżących, lekko rozchylonych ust. Usta. Usta, Usta Usta... Przez nie moja myśl zaczęła mnożyć się, pączkować, rozwijać się w zgoła irracjonalne ze względu na obecną sytuację marzenie, marzenie o ich delikatności,

czułości, lekko muskającym ciepłe. Usta, które w milczeniu zamykają oczy, stają się nimi i spotykając drugą parę tworzą spojrzenie pocałunku, wrót gorącego pożądania. W ciemnym świetle czerwień jakby utajona drżała, pełnia żaru skuliła się gdzieś w kącikach i zmarznięta łkała zatrwożona, co teraz będzie. I Bogowie wiedzą gdzie jeszcze zaprowadzić by mogła mnie ta moja myśl, jeśli nie szybkie pociągnięcie nosem kobiety, takie które towarzyszy nadchodzącemu płaczowi. Usta płakały, nos płakał. Zaskoczony spuściłem wzrok, zdążyłem jeszcze tylko zobaczyć smukłą szyję i jej kręgi ruszające się pod skórą. Gdy jej głowa unosiła się, moja na powrót oparła się o kolana. Czułem się niemal zawstydzony, jeśli jakimś sposobem mogła była wiedzieć, że patrzyłem. Pociągania nosem zaczęły się powtarzać. Usprawiedliwiając się przed sobą, że oficjalnie mam prawo je słyszeć i sprawdzić co to takiego, podniosłem głowę. Oczy też płakały. Usta, nos i oczy płakały. Bez względu na niezwykłość i brutalność obecnej sytuacji, chciałem powiedzieć coś groteskowego lub nawet żartobliwego, udając niezłkniętego macho, nie płacz maleńka, będzie dobrze, no nie płacz już nie płacz, masz, okryj się kurtką, na pewno jest ci zimno. Nie powiedziałem jednak nic, głowa powoli wróciła na swoje miejsce. Niech pan nie myśli, że ze mnie taka płaczka, nic mi nie jest, to tylko chwila słabości. Skąd pani wie, że myślę? Odpowiedziałem w trakcie podnoszenia głowy. Nie spodziewałem się tego, nie wierzyłem w to, że ktokolwiek mógł widzieć, wiedzieć... Zacząłem nerwowo rozglądać się na boki, czy czyjakolwiek uwaga nie została zwrócona na słowa kobiety. Żaden garb nie wyprostował się jednak.

Widziałam pana na ulicy, robił pan wszystko, żeby zwrócić na siebie czyjąś uwagę. Tacy zawsze myślą, myślą jacy to oni są wspaniali, nieszczęśliwi, zatroskani, wyjątkowi w dostrzeganiu subtelności. Tymczasem jest pan taki sam, jak cała ta reszta. Tu lekkim uniesieniem lewej brwi dała do zrozumienia trzęsące się garby. W końcu wszyscy jesteśmy równi, nie? Tu zabrzmiała fałszywa nuta lekkiego sarkazmu, na tyle umiejętnie zagrana jednak, że nie mogłem odszyfrować prawdziwej intencji kobiety. Jej twarz zastygła w pokerowej minie i czekała na mój ruch. Wszyscy powiada pani... a te czarne skurwysyny... krzyknąłem w myślach, też są tacy sami jak my? Opanowałem się jednak, nie mogłem ufać nikomu. Postanowiłem spasować. Myli się pani, ja nie myślę. I już miałem spuścić głowę na kolana, kiedy ona znowu się odezwała. Brawo, prawidłowa odpowiedź, jest pan dokładnie taki, jest pan równy. A te czarne skurwysyny? Tak, oni też są równi, co prawda trochę bardziej równi, ale to się zmieni, już niedługo... Nie rozumiałem, o co jej chodzi, myśl nie dawała się stłamsić w głowie, wypaliłem więc już nieco podenerwowany. O co pani chodzi, do cholery, z tymi bredniami o równości, chce pani wiedzieć, co myślę, dobrze więc, myślę, że jest pani oziębłą aktorką, której rola polega na przykryciu pogardy tą czerwienią sukienki i błyszczącą namiętnością. Może mi pani powiedzieć, dlaczego pani tak udaje? Jak pani może porównywać tych biednych ludzi z tymi... gadami? Zamieniłem z panią kilka słów, a już poczułem ten chłód, co ja pani zrobiłem!? Ona ciągle jednak spokojnie patrzyła mi prosto w oczy. Niewzruszona spokojnie wypowiadała kolejne słowa. Może dla pana to tylko rola, tym bardziej

trafia pan do tego samego worka, co reszta. Wszyscy chcecie mnie mieć, wszyscy patrzycie, pieprzycie mnie patrząc, uznając że to tylko rola, chcecie mnie mieć po równo, po równo i tylko dla siebie. Jeśli wszyscy jesteście równi, to jako równa, jestem własnością równych, czy pan nie widzi, że tak właśnie ma być, a właściwie jest, w tej naszej wielkiej wspólnej ojczyźnie? Moim ciałem o władnęły dreszcze, myśl w żaden sposób nie była przygotowana na tego typu wywody i zagmatwania, zacząłem wierzyć, że to tylko przywidzenie, mara, wytwór myśli, tak, chciałem ją pieprzyć, pieprzyłem ją wzrokiem, byłem równy. I chciałem mieć ją tylko dla siebie. Z półcienia miejsca, w którym siedziała czułem wpatrzony w moje oczy jej wzrok. Tak zimny, a tak pociągający zarazem. Nie, nie chciałem się z tym godzić. W przypiływie resztek zdrowia mojej myśli sucho i może nazbyt patetycznie zaprotestowałem. Jeśli już tak bardzo chce pani równości, to niech ma pani na uwadze, że równi jesteście tylko wobec jednej rzeczy – śmierci. Tylko wobec niej jesteście równi. Kobieta z grymasem kpiny na ustach odwróciła głowę i nie odezwała się więcej. Do mnie dotarło natomiast, że jest już jutro. Czy to już czas...

XVII

Noc spędzona w trzęsącej się ciężarówce musiała w końcu uśpić zmęczoną myśl, pobudką zostaliśmy obdarzeni jakby po równo, bo w pewnym momencie plandeka odchyliła się

na szerokość metra i obudził nas wrzask czarnego żołdaka. Do wnętrza wlało się poranne światło, zaostrzając każdą krawędź, klując jak szpilka dno oka. Kiedy przetrąłem oczy i spojrzałem przed siebie, zobaczyłem, że Sukienka nie jarzyła już gładzią ponętnych ramion, ale brezentem obdartego płaszcza, pewnie podarowanego przez jakiegoś macho. Kazali nam wyjść na zewnątrz, zaczęły się utyskiwania i klótnie, nerwy, żeby niczego nie zgubić, o niczym nie zapomnieć, wszak przyszłości pewnym nie można było być ani na jotę. Kiedy kręgosłup i kończyny przyzwyczyły się wreszcie do zmienionej pozycji ciała, zacząłem rozglądać się dokoła. Z każdej ze stron zionęła otwarta przestrzeń zamknięta ceglastym murem z wieżyczkami wartowniczymi. Prawie jak w ogrodzie mojej babci, pomyślałem, nic tylko trawa, mur i szczekające psy. Bez zabawy do obiadu. Zero rozmów bez pytania. Ciągłe popychanie z kąta w kąt. Żadnej ucieczki. Wszystko tak jak tutaj, tylko ogród babci był dużo mniejszy. Ale i ja zdążyłem urosnąć, nawet szczekające psy urosły i uzbrojone zostały w karabiny. Żadnej ucieczki. Tłum przestraszonych ludzi zaczęło rozpychać na oddzielne grupy, na oko trzydziestoosobowe. Puste ciężarówki odjechały, rżąc na rozjeżdżonej trawie. Jedna z nich zaryła się przed samą bramą. Patrzyłem jak ogromne koła pokrywają się gęstą mazią błota i rozbryzgują je na kilka metrów w tył. Nie patrzyłem na ludzi, miałem już dość tego cierpienia, otępienia w cierpieniu, cierpienia w grupie. Na wieżycze ponad bramą stał żołdak w długim płaszczu i papierosem w dłoni. Oparty o stalową barierkę szczyrzył zęby obserwując jak dwóch jego pobratymców pcha

uwięzioną ciężarówkę, jak koła powoli pokrywają się błotem. Myśl w mojej głowie zaczęła rozkwiatać, było mi dobrze tutaj. Czułem się bezpieczny, nie obchodziło mnie już nic. Chociaż czułem obecność ludzi dokoła, słyszałem krzyki oprawców i lament krzywdzonych, nie miałem najmniejszej ochoty na nich spoglądać. Wpatrywałem się w żołdaka na wieżyczce, który właśnie podniósł rękę, tę z papierosem, na powitanie komuś zza bramy. Wydawało mi się, że dotknął sufitu szarego nieba. Ten ogród miał nawet dach. Żadnej ucieczki. Usiadłem na wilgotnej trawie i objąłem ramionami kolana. Schyliłem głowę i zamknąłem oczy. Mój własny ogród. Jeszcze mniejszy. W tym ogrodzie nie rosnę, choć też są mury i przestrzeń uczucia pustki, a także szczekające psy obaw i lęków. Dziś jest jutro. Jutro nie żyję. Czyżby śmierć była najmniejszym z ogrodów? Przez płaczącą się myśl próbowały się przedrzeć bluzgi i pokrzykiwania żołdaków. Coraz bardziej, coraz intensywniej i głośniejsze. Nagle poczułem chłód dokoła mnie, jakby ukłucie w tyle głowy, jakiś impuls przeczucia, że zbliża się coś niedobrego. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że grupki ludzi już stoją uporządkowane w długiej kolumnie, tylko ja niesforny siedzę na trawie. Zanim zdążyłem przyjrzeć się którejkolwiek z postaci zobaczyłem jak z prawego boku ku mojej twarzy zbliża się ubłocony, ciężki buciór. Pociemniało, krótkie razy w żebra otrzeźwiły mnie jednak i zrozumiałem swoją niesforność. Kilka osób z przydzielonej mi grupki szybko podniosło mnie z ziemi i wciągnęło w jej objęcia. Mimo pomocy szybko usłyszałem ciche bluzgi i słowa nienawiści, że od początku same ze mną problemy i że już dawno powinienem dostać kulę w

łeb za te wygłupy. Trzymając się za czoło, próbowałem się ocknąć z tego kopniaka. Z nosa ciekła mi krew, dyszałem i drżałem całym ciałem. Wtem przed sobą ktoś podał mi kawałek zaplamionej chustki. Jak na martwego krwawisz całkiem nieźle. Ale jak na żywego masz albo dużo odwagi, albo jesteś zwyczajnie głupi. Poznałem głos. Sukienka. Byłem zły, potwornie zły. Szybko odparowałem. Jak na oziębłą sukę za dużo się interesujesz innymi. Chyba chciała coś odpowiedzieć, ale w tym momencie kolumna ruszyła. Cała masa brudnych ludzi poczyniła krok przez bramę ogrodu, w nieznane.

XVIII

Widziałem kiedyś taki obraz, kilku wynędzniałych mężczyzn, z założonymi na siebie skórzanymi pasami, ciągnie jakąś łódź po rzece. Obrazek wisiał w zatęchłym pokoju dziadka, gdzie spał, kiedy śmierdzał bimbrem i obcymi babami, jak to babcia mówiła. Malarza zawsze nazywała Rzepinem, chyba dlatego, że rzepa przypominała jej głód, pasy natomiast uwiązanie do męża pijaka. Przypomniałem sobie te nędzne twarze, poza jedną dorosłe, ciała owinięte w brudne łachmany i pochylone do przodu, wysilone skronie, zapięte w jarzmo ramiona. Wszystko to kojarzyło mi się z tą kolumną ludzi, w której człapałem patrząc na pięty kogoś przede mną i trzymając chustkę przy nosie. Lecz co lub kogo my ciągniemy? Chyba swoje własne zatracenie, pamięć, że jeszcze tak niedawno było

inaczej. Wtem myśl wtrąciła swoje niespodziewane kuriozum – może to właśnie mnie ciągną? Może to ja jestem tym ciężkim statkiem, który trzeba wlec za sobą? Przecież mnie było tak dobrze, tam za murem, nie chciałem już niczego więcej... Podniosłem głowę, spojrzałem w lewo i zobaczyłem starszego z fajką o ebonitowym ustniku, chował wzrok pod wąskim rondem kapelusza, wątła jego postura odznaczała się długą szyją pochyloną do przodu, jakby na ramionach faktycznie miał założone skórzane pasy. Czy to ten sam, ten z ulicy? Czy z obrazu? Zaczęło mi się mieszać wszystko w głowie, każda twarz była tak obła do siebie podobna, znów ten tłum zaczął mi się pętląć i guzlić, z tym, że teraz tworzył długi sznur zakonnika, na którym węzły miały o czymś przypominać. Niestety nie znałem żadnego z tych ludzi, nie miałem prawa wiedzieć o ich najważniejszych sprawach, o ich stratach. Szliśmy szeroką ulicą przy prawym jej krańcu, tam gdzie nie było już bruku, a płynął ściek i błotniste szumowiny. Brukowane karby na ulicy jak fale rzeki niosły na swych grzbietach samochody, jak parowce i żaglowce z obrazka. Z uporem wypatrywałem naszego balastu, tego który ciągniemy my. Tubylcy wytykali nas palcami, od czasu do czasu słysząc było gulgot rozmów w pogardliwym tonie, jak mniemałem. Porę dnia wskazywały ich spuchnięte gardła, żadne nowinek, przepastne, lecz na dziś już zmęczone widokiem powłóczącej nogami, brudnej gąsienicy, ciągnącej rynsztokiem. Zwracali nam pod nogi swoje słowa. Mamy was dość maruderzy, nie chcieliście dobrze, my nie chcemy was.

XIX

Nigdy nie było tak źle, chcieliśmy dobrze, ale świat nam na to nie pozwolił, świat nasz oddzielał się tutaj od świata, który znamy dzisiaj. Dnia dzisiejszego niestety nie mogę oddzielić od wczoraj, bo jak kreska długa i szeroka świat ten patrzył na nas z nadzieją, a my zwyczajnie po swojemu spartoliliśmy ten akt. Scena zaczyna płonąć, tragic opiewa marnotę, wiedźma fałszuje swój tren, co robić, na Bogów Wszystkich i Demonów, krzyżują nas przecie!!! Krat nie zniosę żelaznych, ale pomsty szukać mogę we własnej głowie, nie daj się, walcz!!! Twarze, które mijaliśmy, zaczęły płakać i stawać się coraz bardziej ponure, kwiat zeschły nie ma już tej mocy. Po hiszpańsku, flamandzku i jeszcze jakimś głosem zaczęły nalegać i wołać, że tak nie można, że tak przecież ma być, dobrze jest jak jest, to chyba w naszej kolumnie, uniosłem głowę, żeby posłuchać, zbyt szeroko jednak myśl moja wydzwignęła się na płaszczyznę władania, by trąceniem tak lekkim dać się z niej zrzucić i przyznać temu komuś rację. Śmiać się czy płakać. Droga nie ta. Pomyślałem. Rozminęliśmy. Się. Krzyżem chcą chyba uczynić nasze rozminięcie, ten zbieg nie może znaleźć swojej okoliczności. Wtem głos rozległ się w kolumnie, piękny, rzewny, jasny. Śpiewała kobieta, ze trzydzieści lat starsza ode mnie, nie wiedziałem w jakim języku śpiewała chyba po szwedzku, ale rozumiałem tę mowę, czułem tę stratę i krzywdę, zlewające się w poruszającą całość. Cała ta kolumna była jak jedna wielka hałda rozczarowania, która niczego i nikomu nie potrafi już

odmówić. Mimo to do czegoś jeszcze byliśmy potrzebni. Spomiędzy kołyszących się ramion idących przede mną widziałem czubek nosa śpiewającej kobiety wychylający się spod płóciennej chustki na głowie. Przez chwilę zrobiło się cieplej na duszy, śpiew uspokoił fale i na ten jeden moment kilku rzewnych zwrotek sprawił, że nie ciągnęliśmy tego statku pod prąd, pasy na ramionach poluźniły się, sylwetki zaczynały się wyprostowywać. Rynsztok na chwilę zastygł i nie utrudniał marszu. Oddaj. Usłyszałem za ramieniem głos Sukienki. Odwróciłem się i zobaczyłem ubrudzoną, drobną dłoń w wyciągniętym geście. Wyjąłem chustkę z kieszeni i chciałem jej oddać. Jednak kiedy w mojej dłoni zobaczyła zmiętą, krwawą kulkę, cofnęła rękę i ze zirytowanie podniesionymi brwiami spojrzała w bok, ponad głowy. Może jednak zatrzymaj ją pan sobie. Zrównałem z nią krok i patrzyłem na jej twarz. Była piękną kobietą, naprawdę piękną. Jej oczy i nos płakały. Co chwilę pociągała nim i wycierała w rękaw obdartego brezentowego płaszcza. Chciałem coś powiedzieć, nie wiedziałem co, gardło zacisnęło się i zaczęło puchnąć. O nie, wzdrygnąłem się na tę myśl, że muszę ciągle dusić w sobie wszystko, co wypływa z mojej własnej myśli. Przepraszam. Zdaje się, że zdążyłem znienawidzić panią wcześniej, niż dowiedzieć się czegokolwiek o pani więcej. Zwróciła na mnie wzrok, popatrzyła w oczy, lecz jakoś inaczej niż wtedy, na ciężarówce. Od wielu dni poczułem się czymś więcej niż przedmiotem, ktoś popatrzył na mnie inaczej niż na adres mieszkania, czy na numer na czole. Jej źrenice rozszerzyły się, ludzkie spojrzenie, jak dawno go nie widziałem, myśl rozluźniła się i lekko uśpiła swą czujność. Spojrzenie to

wchłonęło mnie jak ciasne pomieszczenie windy. Chemiczny związek czworga oczu szczelnie zamknięty w metalowej puszcze był czymś nieskazitelnie czystym, żadnych pigmentów, brudów czy utleniaczy. Szlachetność tej chwili pięła się w górę, by na najwyższym piętrze doczekać się rozprężenia i ulotności. Niestety, zamiast na najwyższym piętrze ocknąłem się w piwnicy, po krótkiej chwili Sukienka jakby otrząsnęła się z tego roztargnienia i jej oczy na powrót zastygły w obojętności. Znowu te drwiące brwi uniosły się, a usta zaczęły mówić. O ho, następny umarłak usiłuje pokazać jaki to on wspaniały i ludzki, pan da spokój. Słowa te dźgnęły mnie jak gruba igła używana do punkcji, zimna tępa i wysysająca z człowieka życiodajny szpik. Z rozbieganymi dokoła oczami ściszonym głosem zapytałem. Skąd pani wie, że ja nie żyję? Znowu spojrzała na mnie, tym razem ze zdziwieniem. Przecież my wszyscy jesteśmy martwi, dla nich nie musimy żyć, żyjący chcą mówić i myśleć, chcą sądzić i polemizować. Martwym wystarczy zawiesić numerki na dużym palcu u nogi i zapisać w kartotece. Wtedy nieważne, w której szufladzie siedzi, skoro wszystkie szuflady są w jednej kostnicy. Wystarczy dać każdemu swoją szufladę, mniejszą lub większą, odosobnioną, bo przecież zmarli nie muszą już rozmawiać i być razem. W szufladzie wystarczy okienko, przez które każdemu wydaje się widzieć cały świat. Do tego w okienku zawsze można powiesić zasłonki, jakie każdy chce. Numerki i tak jest zapisany gdzie trzeba. I tak pan widzi, wszyscy jesteśmy umarli, po równo. Ale przyznać muszę, że przez moment wydawało mi się, że pan faktycznie myśli, że samotny jest pan nie ustawowo, lecz z

własnego wyboru. Nie rozumiałem do końca o co jej chodzi, choć ciągle nurtowało mnie skąd ona może wiedzieć, że nie żyję. Zdjęty strachem, że może celowo podpuszcza mnie, żeby w zgubnym dla mnie finale pochwalić się nową ofiarą przed swoim panem, kimkolwiek on miałby być. Chciałem jakoś odbić piłeczkę, i najswobodniej jak tylko potrafiłem zacząłem wypowiadać słowa. Tak to widzę pięknie pani ma wszystko poukładane, a o tym układzie mówi pani z taką pogardą, mimo to wydaje się pani być równie samotną jak ci wszyscy, o których pani wspomniała. Równie, zaczynało mnie szczerze irtować to słowo, tym bardziej, że to ja go użyłem. Twarz jej nawet nie drgnęła, zabrzmiały słowa w ciętym staccato. Nie pański interes. Irytowała mnie też ta jej obojętność, zgorzkniałość, zimna krew, która pozwalała jej na postawienie muru w każdym momencie. Ciągnąłem więc dalej. Myślę, że czuje się pani samotna i tak zniechęcona ludźmi, bo zbyt dobrze pani ich poznała. A być może dlatego, że poznała ich pani, jak pani to określa, po równo. Na tym ostatnim słowie chciałem się ugryźć w język, lecz myśl zaczynała wypuszczać nowe pędy, więc mówiłem dalej. Było mi już obojętne, czy Sukienka ma wobec mnie złe zamiary, czy tylko się mną bawi, czy może w jakiś sposób jest szczerą. Popatrzyła jakby od niechcenia, po czym dalej obserwowała ulicę, tym razem jednak widziałem, że uważniej słucha tego co mówię. Ciągnęła natrętność, obłuda i żądania bez dawania czegokolwiek w zamian oddalały panią od innych, być może wywyższały, być może poniżały, w pewnym momencie było pani wszystko jedno, byle nie musieć dotykać ich brudnych łokci

i czuć zgniętego oddechu na plecach. W pewnym momencie wydawała się mieć już dość, więc przerwała mi, kiedy nabierałem oddechu do kontynuacji mojego wywodu. No dobrze, widzę, że zdaje się panu, że mnie dobrze zna, czyżby to wszystko co pan mówi o mnie, wnosił pan po swoich doświadczeniach, czy dlatego jest pan samotny, dlatego tak pan nie lubi ludzi? Popatrzyła na mnie spojrzeniem, które skojarzyło mi się ze snującym się dymem z papierosa, patrzyła na mnie zza mgły podstęp. Mimo tego wrażenia, odparłem. Widzi pani, choć stoimy w podobnej odległości od ludzi, to mam wrażenie, że do tego punktu doprowadziły nas inne drogi. Podczas, gdy pani czuje niechęć i odosobnienie wobec innych bo zbyt wiele pani o nich wie, tak ja jestem samotny, bo nic o nich nie wiem. Kontakty z ludźmi zawsze kojarzyły mi się źle, bo tylko kiedy było źle, potrzebowałem ludzi.

XX

Szliśmy już co najmniej kilka godzin, monotonny marsz stawał się prawdziwą katorgą. Co jakiś czas ktoś przewracał się lub potykał. Maruderzy momentalnie stawali się ofiarami warkotliwego rugania i bezlitosnych kuksańców lufami karabinów. Mimo to, powietrze coraz to bardziej wypełniało się jakąś świeżością, stęchlizna i odór miejskiego życia ustępowały jakiejś dziwnie znajomej bryzie. Mógłbym przysiąc, że gdzieś niedaleko jest morze. Z drugiej strony to oczywiste, przecież ta nasza rzeka

musiała mieć gdzieś swoje ujście. Niestety, mnie wydawało się jakbyśmy ciągnęli ten ciężar w górę rzeki. Na ulicy robiło się pustawo, grudowata maź ludzkiego tłumu wsiąkla gdzieś w bramy i drzwi kamienic, zamiast nich pojawiły się stalowe barierki i niebieskie mundury tutejszej policji. Obserwowałem ich z tym samym zaciekawieniem, które zawsze towarzyszyło mi, kiedy w pobliżu znajdowali się ludzie przebrani za dostojników jakiegoś organu, wyższej władzy. Spod czapek, hełmów i kasków nigdy nie można zobaczyć ich twarzy, jakby służbowo byli zobligowani do tego, by własne imię zostawiać w szatni komisariatu, inspektoratu, komórki organizacyjnej swojej macierzy. Przypomniałem sobie jeden wieczór, kiedy siedziałem w jakiejś obskurnej knajpie, gdzie zbierała się cała podziemna śmietanka towarzyska. Siedziałem przy samym końcu baru, pijąc entą szklankę wódki z mlekiem. Za swoimi plecami czułem jak w ciągu wieczoru roztapia się bryła posępnych na co dzień złodziei, paserów, robotników, cieciów i kierowców. Polana cienkim piwem coraz wygodniej rozsiadała się przy stolikach. Łokcie coraz szerzej rozjeżdżały się na blatach, pośród rozlanego piwa i popiołu z papierosów. Plecy garbiły się adekwatnie do wypitej ilości, głowy pochylały, a kto siedział tu dłużej odpoczywał z głową opartą na stole. W powietrzu unosił się gęsty dym przetykany bluzgami i pokrzykiwaniami na kelnerkę. I choć zdawało się być odwrotnie, rządziły tu kobiety. Raptem kilka, lecz każda uzbrojona w tajemniczą broń, jakiej nie mógł się oprzeć żaden pijany ojciec, syn, ojczym, mąż czy kochanek. Kobieta, która za szklankę piwa siadała potulnie na kolanach i śmiała się z każdego dowcipu, w jednej

chwili potrafiła sprawić, że dany sponsor budził się w jakiejś bramie z obitą twarzą, po jednym skinieniu miał zamknięty kredyt w barze lub okazywał się być impotentem kibicującym przeciwnej drużynie. Jedna z nich siedziała obok mnie i plując mi w ucho przez ubytki w uśmiechu, opowiadała mi o swojej córce, która nic tylko ugania się za chłopakami, a potem niewiedomo czyje to dziecko. Pieprzone bachory, ona sama jeszcze bachor, a jak tylko zobaczy spodnie to majtki przez łeb ściąga. Aż kurewka, po kim ona to ma, nie wiem. Nie to co ja, ja kobieta doświadczona, tu poczułem jej rękę na swoim ramieniu i pukiel tlenionych włosów na policzku. Poczułem ostrą mieszaninę tanich perfum, a na udzie drugą rękę. Śniłeś mi się wczoraj, tak patrzę na ciebie jak zawsze siedzisz przy tym swoim mleku, mogę cię poczęstować chłopcze mlekiem, jeśli chcesz, takim, jakiego nie zapomnisz. Co też ona wygaduje, jestem tu pierwszy raz w życiu, już miałem jej grzecznie powiedzieć żeby się odpieprzyła, kiedy od stolika dało się słyszeć zachrypnięty głos. E Mariola, chodź no tu kurwa, ile cię będę kurwa wołał! Przepraszam cię kotku, praca wzywa, nie uciekaj mi za daleko. Popatrzyłem na nią, jak gramoli się z wysokości barowego stołka. Krótka sukienka podwinęła się, kiedy ześlizgiwała się na podłogę, na udach zobaczyłem ogromne sińce, które wyglądały zza dziur w lajkrowanych pończochach. Tleniona ondulacja sprawiała, że jej głowa zdawała się być nieproporcjonalnie wielką, zniszczona twarz gdzieś nikła w tym gąszczu i pod grubą tapetą makijażu. Dla jakiego organu ona pracuje? Pomyślałem. Byłem zadowolony, że dała mi spokój, co prawda nie z własnej woli, ale jednak. Otyły barman

patrzący przez dno kufła pod światło zaczął się ze mnie nabijać. No chłopcze, to mógł być twój szczęśliwy dzień, Mariola nie wybiera sobie ofiar bez namysłu. Wtedy splunął w kufel i wycierając go brudną ścierką rechotał pod nosem, zadowolony ze swojego komentarza. Spuściłem wzrok z powrotem na moją szklankę i odsunąłem ją z niesmakiem na bok. Zacząłem zastanawiać się, czy z obrzydzeniem mam pójść niedopity do domu, czy dopić się do obrzydzenia. Wtem za plecami zaczęło się kotłować. Ja cię kurwo zabiję, trzask butelek, co jest kurwa, wywracane stoły, o żesz ty..., łoskot szklanek, gęsta zasłona dymu poruszyła się lekko nad barem, zza którego pokrzykiwał barman, chcąc uspokoić klientelę. Długo się nie namyślając, chwycił za słuchawkę i przebijając się przez pisk jednej z kobiet, krzyczał tylko 'tam gdzie zwykle'. Choć czułem na swoich plecach realne zagrożenie, że zaraz do mnie się dobiorą, nie chciałem się odwracać, miałem niemal pewność, że kiedy któryś z szanownych klientów zobaczy moją gębę, zostanie ona odpowiednio potraktowana, po równo. Wyciągnąłem prawą rękę za bar i chwyciłem butelkę piwa. Odtrąciłem kapsel o kant blatu i pociągnąłem duży łyk. Nie minęła dłuższa chwila, kiedy otworzyły się drzwi i cały ten rwetes trochę ucichł. Panie władzo, ale nie, ale panie władzo, my tu tak tylko... Barman komentował wszystko swoim gardłowym rechotem, tłumacząc się, że przecież uprzedzał. Stanowczy głos któregoś z policjantów pytał o dokumenty i słychać było jak kilka osób wyprowadzają z baru. Kiedy w barze zrobiło się już zupełnie spokojnie usłyszałem ciężki krok, zbliżający się w moim kierunku. Obróciłem się w prawo i zobaczyłem

ogromne plecy, kark i czapkę policjanta, który okrakiem siadał na stołek obok mnie. Odwrócił się profilem do mnie, jego wielkie wąsy zlewały mi się z daszkiem policyjnej czapki. To co zwykle. Barman szybko nalał do kieliszka setkę wódki i usłużnie postawił na barze. Wielkie łapsko chwyciło za daszek czapki, tak że zasłaniało twarz. Policjant zdjął czapkę i wychylił kieliszek. Już zdrowo podpity nie mogłem uwierzyć. Wgapiony jak w cudowny obraz przecierałem i przymykałem raz jedno, raz drugie oko. Co się kurwa gnojku patrzysz, chcesz z resztą na komendę? Szybko spuściłem wzrok po sobie, nie chcąc problemów. W pamięci utkwiał mi tylko wielki wąs policjanta bez twarzy.

XXI

Zamyślony nie zauważyłem nawet, że nasza kolumna stanęła w miejscu. Ocknąłem się z twarzą wbłą w filcowe plecy płaszczu jakiegoś dryblasu, który obrzucił mnie kilkoma bluzgami za to, że swoją niesfornością zapoczątkowałem swoisty cykl domino, bo, tak jak ja, dryblas uderzył twarzą kogoś przed nim, ten ktoś kogoś dalej. W ten sposób kolumna, choć stała w miejscu, ciągle wydawała z siebie dźwięki. Robiła pod siebie, można by rzec. Staliśmy w miejscu gdzie nasza rzeka spotykała się z mniejszym dopływem, wpadającym do niej prostopadle. Z jednej strony naszą glistę tłumu formowały ściany kamienic, z drugiej metalowe barierki i kordon niebieskich

policjantów co jakiś czas przetykany czernią warkoczających żołdaków. Puszczając mimo uszu skargi dryblas, poczułem nieodparte wrażenie ujawnienia ironii. Pomyślałem, że ten cały marsz tak naprawdę nie ma żadnego celu, żadnego punktu, w którym miałby się skończyć. Był tylko po to, by zamknąć wszystkim gęby, przejści swoją niedolą, z obtartymi ramionami przez skórzane pasy, z nogami mokrymi od błota i obdarci ze złudzeń i myśli, nie mamy nawet chęci mówić, skarżyć się i użalać. A już na pewno nie na głos, do tego potrzeba siły, woli. Wola w niewoli. Morda owinięta szmatą. Bezzębne szczęki i spierzchnięte usta ledwo łapiące powietrze. Nie lepiej, ani nie gorzej niż mają inni. Inni tacy sami, z owiniętymi mordami. Nagle z przecznicy dało się usłyszeć jakieś okrzyki, śpiewy. Niebiesko-czarny kordon zaraz zacieśnił szyki i nerwowo czegoś oczekiwał. Chciałem zobaczyć co to może być takiego, wszystko zasłaniała mi jednak gęstwina głów i hełmów. Obejrzałem się na boki, Sukienka gdzieś przepadła. Do innych bałem się odezwać, a już na pewno nie chciałem się odzywać do dryblas. Śpiew i okrzyki robiły się coraz głośniejsze, każdy stawał na palce, żeby cokolwiek zobaczyć. Ja również przeżyłem ciało, lecz bez skutku. Wtedy dryblas krzyknął do swojego ziomka obok, niskiego grubasa w podartym kozuchu. Kolorowi, idą kolorowi, ja pierdołę, pierwszy raz w życiu ich widzę i już ich nienawidzę. Popatrzyłem na profil dryblas a zobaczyłem przodujące ogromne czoło i usta wydęte w niesmaku. Choć nie rozumiałem słów to pomyślałem, że ludzie, którzy nieśli te śpiewy i okrzyki na ustach, musieli być pewnie oddziałem żołdaków idącym z paradą. Wtedy

grubas zapytał z takim że niesmakiem co dryblas, acz z wyrazem ciekawości. To gadaj że, co widzisz!? A daj spokój, baby z cyckami na wierzchu, chłopiny za ręce się prowadzą, na flagach... nie wiem, pewnie jakieś bezeceństwa ponapisywane... Co!? Pomyślałem. Albo dryblas bredzi, albo ja zwariowałem. Okrzyki i śpiewy stały się naprawdę głośne i zobaczyłem kolorowe płachty ponad głowami. Ja też nie rozumiałem ani symboli, ani hasła na nich. Ciągłe jednak nie widziałem tych kobiet z obnażonymi piersiami ani mężczyzn idących za rękę. Kiedy krzyczący tłum zbliżał się już do naszej kolumny, na trzecim piętrze w kamienicy po drugiej stronie naszej rzeki otworzyły się drzwi balkonowe, a zza nich wyłoniła się dobrze znana gęba Ważnego. Jak zwykle w nienagannie utrzymanym mundurze, z tą samą wyprostowaną posturą. Kiedy tylko stanął przy barierce, śpiewy spod kolorowych sztandarów przemieniły się w buczące skandowanie, i choć dalej nie rozumiałem co krzyczą ci ludzie, to nie trudno było domyśleć się, że nie są oni przyjaźnie nastawieni do czerni munduru Ważnego. Nie mogłem sobie uzmysłwić, jak to możliwe, jakąż oni muszą mieć siłę, jak liczni muszą być, skoro z otwartą przyłbicą mogą pluć gadzinie w twarz! Okrzyki i wyzwiska mieszały się z wyśpiewanymi hasłami, spośród których jedno pojawiało się najczęściej. 'I – KUA – LI – TI'. Choć gdzieś już słyszałem to słowo, to jednak odbijało mi się tylko pojedynczymi sylabami o bębenki w uszach. W górę poleciała butelka, lecz rozbiła się o ścianę o piętro niżej balkonu, na którym stał Ważny. W mgnieniu oka przez kordon policjantów przedarł się oddział szturmowy z wyraźnym zamiarem spacyfikowania

pochodu. Moje obawy, wiara, czy też nadzieje na istnienie wcześniej wspomnianej siły zostały szybko rozproszone. Za kilka chwil będą tak jak my ze zgarbionymi plecami zmierzać w kolumnie z owiniętymi w szmaty mordami. Ale cóż to, Ważny jak łagodny ojciec uśmiechnął się i jednym ruchem zatrzymał swych żołnierzy. Na znak uniesionej prawej dłoni żołdacy szybko wrócili na swoje miejsce. Wtedy dłoń obróciła się do góry wierzchem i z lekko ugiętymi palcami chciała jakby pogłaskać skandujący tłum po głowach. Ważny powtarzał ten pieśczośliwy gest jakby chciał każdą głowę pogłodzić z osobna, a z każdym powtórzeniem jego dobrotliwy uśmiech robił się coraz szerszy. Tłum pod balkonem wrzał, mogłem niemalże zobaczyć, jak para unosi się między flagami, i poczuć bijący żar przez kordon policjantów. Z huczącego chaosu setek czy tysięcy gardel coraz wyłaniały się wyraźniejsze fale. Rzeka gotowała się w swym korycie. Ważny uniósł drugą rękę i złożył palce jak dyrygent przed rozpoczęciem opusu. Lecz nie on chciał dawać znaku do rozpoczęcia, czekał na odpowiednią falę wrzątku, a kiedy taką wyłapał, zaczął dyrygować w takcie na cztery, poruszając szeroko ustami ‘I – KUA – LI – TI’. Po kilku takich taktach, wciąż uśmiechnięty, machnął dłonią w naszym kierunku, patrząc na żołdaków. Ci momentalnie zrozumieli i zaczęli popychać naszą kolumnę do dalszego marszu.

Nikt nie miał zamkniętych ust. Nawet żołdacy szli w parach i zgrzytali wargami, sypiąc podniecone iskierki słów wspominających zobaczony przez nas wszystkich spektakl. Dryblas przekomarzał się z niskim grubasem o liczbę, jak on to nazwał, kolorowych. Dwie starsze kobiety za mną gdakały jak grzędowe sąsiadki o tym, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziały, przecież to nie do pomyślenia. Cała kolumna cicho szumiała szeptem, szeptem jaki potrafił przebić swą falą nie jedną membranę. Obok mnie ramię w ramię siedł brodaty mężczyzna w granatowej tweedowej marynarce, owinięty po uszy grubym wełnianym szalem. Choć plecy miał zgarbione, szyja jego wyciągnięta była wysoko, wysoko ponad tłum. Oczy wodziły po głowach, wodziły za uszami, bo kiedy tylko usłyszał strzępek rozmowy, odpowiadał. Tylko pytaniami. Dlaczego kolorowi? Po co? Kto? Przecież mówiłem, nie mówiłem? Miał na głowie szary kapelusz z rondem lekko przekrzywionym na oczy i wydawało się jakby z niego czytał wszystkie pytania. Tu kanał siódmy, teraz odbieramy sygnał z kolumny idącej donikąd. Patrząc na niego uzmysłowiłem sobie, że w całej tej zbieraniu chyba tylko ja nie znalazłem sobie partnera do plotek, przekomarzań czy kłótni. Nawet takiego, którego widziałbym tylko ja. Gdzie nie spojrziałem, każdy i każda zajęci rozmową. Może by tak dać komuś w gębę? Przynajmniej ktoś by mnie zauważył, oddał, odpowiedział... głupie. Uniosłem swoją zastrupianą mordę ku górze i trzymając się tempa marszu zamknąłem oczy. W wyobraźni zbudowałem naprędce dom. Deska dwa gwoździe raz dwa. Okno z zasłonką raz dwa. Za szybą krawędź lasu. Raz. Bez zasłonki. Dwa.

Ławeczka w ogrodzie z lipowymi szczęblami. Raz dwa. Zapach wiciokrzewu unoszący się na wysokości ramienia, tak, by można go było zbierać nosem, kiedy lekko schyli się głowę. Raz Dwa. Obie dziurki wypełnione słodkim zapachem przytulają się do własnego ramienia i wtedy zza pleców słyszeć kilka strun, które miękko wibrują społem ze sobą w szczerym akordzie. Raz i dwa. Raz i dwaaaaaaa. Chcą nas gdzieś wywieźć, chcą nas eksportować, chcą nas się pozbyć!!! Nie wiedziałem co się dzieje, nigdy nie życzylibym sobie takich słów w moim domu! Otworzyłem oczy i od razu natknąłem się na przerażone spojrzenie Sukienki. Jakieś wielkie łapska w skórzanych rękawicach złapały ją za ramiona i ciągnęły gdzieś w głąb tłumu. Na swoich barkach też poczułem stalowy uścisk jakiegoś żołdaka, ponaglającego mnie w swoim szorstkim języku. Lecz nie to mnie dziwiło, martwiło, czy też śmiertelnie przerażało. Nie mogłem zrozumieć samego siebie. Z całej swojej woli chciałem rzucić się w ten ogłupiony tłum po to, by złapać Sukienkę za rękę i trzymać tak długo, ile potrzeba, by przeczekać ten rwetes i harmider. Otępiały widziałem oczyma wyobraźni, jak jej oczy stają się mokre od łez, gardło chrypie od ciągłego krzyku, jak jej dłoń ściska pustkę zamiast mojej dłoni. Co się ze mną dzieje? Czy dałem się zwieść temu, jakże obcemu przecież, uczuciu? Gniew pomieszany z podnieceniem wirował nisko nad moją głową, po chwili usiadł na niej i opanował zmysły. Przed oczami stało jej spojrzenie, w uszach wibrował jej głos, zacisnąłem pięści, by poczuć jej dłoń. Pustka. Pustka, która przelała czarę gniewu. W ułamku sekundy całe moje ciało sprężyło się i rzuciło się w stronę

tlumu z całą mocą, jaka tylko w nim tkwiła. Uścisk żołdaka był jednak na to przygotowany, sprawnym machnięciem kulaka w potylicę szybko ostudził kipiący żar mojego uniesienia, które już nawet nie tliło się, kiedy nieprzytomnego ciągnięto mnie po bruku.

XXIII

Zanim otworzyłem oczy moja głowa, pulsująca tępym bólem, zaczęła wypełniać się tysiącem pytań. Ile dni już nie żyję? Ile czasu minęło od ostatniego przykrego zaśnięcia? Ile razy jeszcze w ten sposób będą mnie usypiać? Może nie wszystko pamiętam? A może każdy mój tak zwany dzień kończył się właśnie takim tępym uderzeniem w tył głowy, rozpoczynał od pulsującego bólu w skroniach? Mogłoby się zgadzać... Czy jest to możliwe, że tak mnie wytresowali, że do mojego mieszkania nie musiał już wchodzić żaden żołdak, by mnie zdzielić po głowie, że co wieczór robiłem to sam? Zabijając się myślami, upijając się myślami, bijąc myślami w mur otumanienia, zamyślając się do nieprzytomności? Mogłoby się zgadzać... Monotonny pisk w uszach obiegał oś czasu krętą sinusoidą stymulowaną pulsującym bólem. Chyba nie mam wyjścia, muszę otworzyć oczy, jeśli już odzyskałem przytomność. Z ciągle zamkniętymi oczami wyważyłem głowę do wyobrazonego poziomu i odczekałem, aż szale moich skroni wyrównają się. Powieki otwierały się niechętnie, sklezione podczas błęgiego snu. Mogłem przysiąc, że słychać było dwa

młaśnięcia i skrzypienie, jak przy otwieraniu starych okiennic. Siedząc na miękkim dywanie z puszystymi frędzlami, miałem przed sobą widok dość dużego pokoju. Nie było mebli, ale ściany wyłożone były kosztowną draperią z połyskującego czerwonego drewna, a na nich obrazy w złotych ramach. Wprostowałem nogi, dwa skrzypnięcia, oparłem dłonie na miękkim dywanie, dwa delikatne muśnięcia głaskanej szczeciny. Mrugnąłem, dwa młaśnięcia. Mogłem usłyszeć wszystko, do piszczącej sinusoidy dołączyło bicie mojego serca, świst powietrza w nozdrzach. Na obrazie przede mną wielkie ludzkie ucho na tle śniadania rozłożonego na stole. Deska kuchenna z kawałkiem sera i wbitym nożem. Miseczka z sałatą i pomidorami. Rozkruszony skrawek chleba na białej serwecie. Gustowna filiżanka z zarysowanym półkolem dymiącej kawy w środku. Jeszcze dalej w tle okno i uniesiona lekkim przeciągiem firanka. Słońce rozlewające się na drewnianej podłodze. Obok obrazu pusta framuga drzwi. Wzrok wrócił jeszcze raz na obraz, miałem wrażenie, że firanka poruszyła się, nie, złudzenie, była w takiej samej pozycji jak przed chwilą. Ale... czegoś brakowało? Stół, miseczka, biała serweta, filiżanka, wszystko było puste!!! Nóż był dalej wbity w deskę, ucho też leżało, ale było czymś jakby pokryte... Wstałem powoli, bojąc się hałasu, jakiego mógłbym narobić, chciałem zobaczyć obraz z bliska. Stawy w kolanach miażdżyły słuch, kości jak wielkie żarna zgrzytały o siebie. Szczęki zacisnęły się aż do granicy bólu, czoło zmarszczyło się, cała twarz utkwiała mi w dziwnym grymasie, moje własne ciało, każda jego część, wydawało chore odgłosy, mieszaninę

stęknąć i chrupnąć, bulgotu i trzasków. Miałem wrażenie, że zaraz rozpadnę się na kawałki, że nie dam rady dłużej poruszać własnym ciałem. Mimo to ciągle wpatrywałem się w ucho. Było pokryte czymś, nie mogłem dojrzeć co to było, jakieś kropki, plamki, żółtawe trójkąciki, może to zęby? Bogowie litościwi, co się ze mną dzieje!/? Kiedy przecierałem oczy, od ścian odbijały się dźwięki różnej drewno piły. Moja twoja. Lewo prawo. Ściana ściana. Co jest na tym uchu, co to jest!/? Muszę podejść bliżej, muszę zobaczyć, co to jest. Kiedy zrobiłem krok, podłoga drgnęła, rozległ się niesamowity, potężny huk, który jak fala zaczął strącać wszystkie obrazy ze ścian. Przerażony patrzyłem, jak złote ramy rozpadały się na kawałeczki, które pokrywały całą płaszczyznę podłogi. Ogrom hałasu zatkał wszelką szczelinę, którą mogłem poczuć cokolwiek, resztką sił wybiegłem przez pustą framugę na zewnątrz. Nie zdążyłem nawet obejrzeć się za siebie, kiedy dwóch żołdaków ujęło mnie pod pachy i zaczęło ciągnąć wzdłuż długiego korytarza. Na końcu widać było okno, z którego światło odbijało się w polerowanej podłodze. Ciągnięty zwiesiłem głowę i zobaczyłem gumowane podeszwy żołdaków. Słyszeć było już tylko sunące po posadzce moje kolana. Znowu prowadzony, uprowadzony, ciągnięty, kierowany, zmuszany. Gumowane podeszwy były tylko kolejnym dowodem na skrytość, przebiegłość i zmyślność instrumentów. Gdzieś pośrodku korytarza żołdacy postawili mnie na nogi. Jeden z nich poprawiał i wygładzał mi ciuchy, drugi złapał mnie obiema rękami za głowę. Popatrzyłem mu w twarz, daszek czapki jak zwykle zasłaniał oczy. Kiedy ręce puściły moją głowę, wszystko

jakby wróciło do normy, nie słyszałem już własnego oddechu i serca. Gestem ręki, uprzejmym niemalże zaproszono mnie do dalszej drogi przez korytarz. Zatrzymaliśmy się przy oknie, które oddzielone było od korytarza żelazną barierką. Nakazano mi pozostanie przy barierce w towarzystwie jednego z żołdaków, podczas gdy drugi wszedł przez drzwi do pierwszego pomieszczenia. Oparłem się o barierkę łokciami i wyjrzałem przez szybę. Budynek, w którym się znajdowałem musiał mieć wiele pięter. Ludzie kręcący się na ogromnym placu byli wielkości niedopałków papierosów. Po lewej stronie stał ogromny przeszklony budynek w kształcie rotundy. W środku widać było niezliczone tłumy ludzi biegających po każdym piętrze. Krawaty, żakiety, biel koszul i papierów trzymany w dłoniach. Garniturowe mrowisko napędzane ciągłym pośpiechem. W słońcu na placu stało mnóstwo masztów z kolorowymi flagami, a pod każdym masztem błyszczało coś złotego. Złociste refleksy były tak silne, że nie można było dojrzeć kształtu tych przedmiotów. Kilka zgarbionych postaci czyściło cokoły masztów i te tajemnicze świecidełka długimi szczotkami i kawałkami szmat. Jedna z kręcących się na placu postaci uklękła przed jednym ze świecidełek i w żałobnym geście uniosła ręce ku niebu. Ekipa czyszcząca szybko go zauważyła. Podbiegli do niego i szturchnięciami szczotek chcieli mu przerwać. Kiedy ten padł krzyżem na betonowany plac, ekipa wzięła go za ręce i nogi i szybko zabrała z pola widzenia, do środka budynku, w którym się znajdowałem. Ocknąłem się i myślałem nad tym, czy stoimy z tym żołdakiem dlatego, że miałem to wszystko zobaczyć, zdziwiła mnie ta chwila

rozluźnienia. Choć w duchu przyznałem, że wolę już stać oparty o tę barierkę, niż znowu doświadczać tej wystawy obrazów. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, że żołdak chodzi od ściany do ściany, przez cały ten czas, a ja nawet nie słyszałem jego kroków. Od razu zauważył, że na niego patrzę i szybko wskazał mi okno. Niepewny obróciłem się z powrotem do okna, a zza ramienia na krawędzi barierki zobaczyłem kładzioną paczkę z papierosami i plastikową zapalniczką. Siła nałogu przewyciężyła wszelkie wątpliwości co do szczerości podarunku. Szybko odfoliowałem paczkę i zębami wyjąłem papierosa. Kiedy suchy szmer odpalanego tytoniu zapowiadał pierwszy łyk nikotyny, kątem oka zobaczyłem wielką żeliwną popielnicę na długiej nodze, stawianą przez żołdaka w kącie obok okna. Żeliwna noga też była gumowana, ani jednego szmeru na całym korytarzu. Tylko ja zdawałem się wydawać jakiegokolwiek odgłosy, choć umarły, tylko ja zdawałem się tutaj być żywym. Kiedy wypuszczałem dym z ust, żołdak uchylił jedno skrzydło okna. Papieros, jaka ta chwila była piękna na tle tych wszystkich okropności. Jedno zaciągnięcie za drugim, dym szybko ulatywał na zewnątrz, nie znikał jednak, a gęstniał i tworzył gęstą chmurę. Trzecie zaciągnięcie za czwartym, papieros był naprawdę dobrego gatunku. Miał złotą obrączkę na ustniku i pachniał wyborną mieszanką jasnego tytoniu. Zaciągnięcie za zaciągnięciem, a na zewnątrz chmura zaczęła lekko przysłaniać słońce. Popatrzyłem znów na plac, blask świecidełek znikł na chwilę i oniemiały zobaczyłem, że wszystkie te błyszczące przedmioty obok masztów z flagami miały kształt gwiazd, dokładnie takich jak te, które

widziałem podczas łapanki na ulicy. Z wrażenia rozdziawiłem usta i tępo wpatrywałem się po kolei w każdą z gwiazd. Z tego letargu wyrwało mnie pieczenie w palce dopalającego się papierosa. Żołdak wyjął mi niedopałek z ręki i wrzucił do popielnicy, po czym wskazał mi drzwi. Za drzwiami był mały przedsionek z brudnożółtą lamperią. W prawej ścianie framuga bez drzwi. Była bez drzwi, lecz nie było widać niczego, co mogło być za nią. To dziwne, jak często w chwilach niepewności człowiek czuje się jak małe dziecko. Wyobraźnia wsiada za ster okrętu i zaciskając czapkę kapitana na oczy wykrzykuje komendy. Po każdej z nich kolejna fala niesamowitych możliwości następstw zalewa szyby mostka. Na pokład wdziera się wielka gruba baba, słysząc przeraźliwe wycie, wrzask, wielka otłuszczona ręka wyłania się zza burty i wyłamuje barierkę. Ta ugina się i stęka jak zarzynane zwierze. Śruby mocujące ją do pokładu odlatują jak pociski i odbijają się od masztów i pokrycia. Jedna wybija szybę na mostku. Skowyt grubej baby staje się jeszcze głośniejszy, miesza się z szalejącym sztormem i skrzypieniem każdej części tej krypy. Wielkie łapsko opiera się o pokład i zza burty wyłania się ogromne czoło, od którego odbijają się krople zacinającego deszczu. Czoło czoło czoło, czarne jak smoła brwi i olbrzymie, niebieskie oczyska ośmiornicy. Kapitan klnąc Bogów za ten rejs każe majtkom ruszyć do ataku. Wnet na chyboczącym się pokładzie w strugach rzęskiego deszczu pojawiły się małe ludziki w przyklejonych do ciał białych mundurkach i z harpunikami i bosaczkami w rączkach. Otyła hydra jakby od niechcenia wysuwa nad pokład sine, mięsiste wargi i obnażając spiczaste kły, jednym ryknięciem zmiata

marynarzyków z powierzchni. Kilku z nich udało się złapać jakiejś rei, logu i widać było, że drugi raz nie spróbują. Jej czarne, splątane morzem długie włosy opadły jak żmije na deski, odsłaniając ogromne i śliskie ramiona. Na jednym z nich cieniutkie, poszarpane ramiączko czerwonej sukienki. Kapitan krzyczy, niewiadomo co, chyba bełkocze obłąkany, patrząc, jak wielkie cielsko wdrapuje się, ślamazarnie przerzuca sadło uda przez resztkę barierki i dysząc na klęczkach opiera się ramieniem o maszt. To koniec, to już koniec. Ogromne ślepie głęboko wpatrzone w okienka mostka. Lekko rozchylone, mięsiste usta, dyszące piersi i spryskane morską pianą fałdy ciała, z przyklejonym tu i ówdzie czerwonym łachmanem. Potwór wstaje, prawym ramieniem obejmując maszt. Lewa ręka powoli poprawia ramiączko, z wysuniętym koniuszkiem języka. Wzrok wodzi za ramiączkiem, głowa odrzuca mokre jak baty skręcone włosy... Wtedy palcem wskazuje nas, obejrzałem się na kapitana, lecz jego już nie było. Za plecami trzaskały tylko drzwi. Oczom nie wierząc, patrzyłem jak wielkie cielsko wskakuje na maszt i zsuwa się po nim jak tancerka w nocnym klubie. Z głową w dół patrzy ciągle w moją stronę, ślepie zdają się uwodzić, kiedy stopy dotykają pokładu, cały okręt niemal schodzi pod wodę, wielkie łapska splatają palce na maszcie i wyginają go jak łódkę trawy. Odrzucając łeb w tył, potwór zaczyna obracać się wokół masztu. Statek kładzie się na falę, to na jedną burtę, to na drugą, wokół biją grzmoty, każdy fałd wielkiego cielska zaczyna unosić się pod wpływem coraz to szybszych jego obrotów. Potwór zaczyna wyć, być może i na swój sposób był to skowyt radości, niepojętej frajdy.

Fale wokół jak ściany, to wznosiły się, to padały w gruzy, na pokładzie rwały się wszelkie linki, trzaskały luki, słychać było jęk każdej wręgi. Wielkie poliki monstrum nadymały się i powoli zatracaly swe kształty w tym szalonym wirze, po chwili widziałem już tylko wirujący majak. Skowyt, krzyk, coś jakby jęk rozkoszy zaczynał osiągać granicę bólu dla moich uszu, a maszt kołysał się coraz to szybciej i szybciej. Zmrużyłem oczy, zatkałem uszy dłońmi i chciałem zbiec z mostku pod pokład. Drzwi zatrzasnęły się jednak. Siłując się z nimi poczułem, jak coś dużego, acz miękkiego uderzyło mnie w plecy. Kiedy się obróciłem, zobaczyłem pod moimi nogami wielki kawał tłuszczu z kawałkiem skóry znad kolana. Wstrząśnięty tym ohydny widokiem, nie wiedziałem już co się ze mną dzieje, na szyby mostka padały kolejne glutowane bryły tłuszczu, kilka wpadło do środka. Wszystkie wylatywały z tego szaleńczego wiru potwora. To już koniec, podbiegłem do rozbitego okna, złapałem za framugę, kalecząc ręce resztami szkła, i zacząłem krzyczeć. Nie krzyczałem słów, to był płacz, płacz beznadziejnego protestu. Przestań! Przestań! Przestań! Kiedy już myślałem, że zemdleję z wytężenia, wir zaczął słabnąć, grzmoty ustały, a bałwany morza nie wyglądały już ponad pokład. Przerwałem krzyk i nabrzmiałymi żyłami na szyi czekałem co będzie dalej. W wirze zaczęły powoli wyłaniać się kształty. Najpierw odrzucona do tyłu głowa, podbródek, linia nosa, welon czarnych włosów. To niemożliwe, to już nie był ten sam straszny potwór, który chciał nas zatopić! Oczom moim ukazała się smukła szyja i drobne splecione palce. Zatrzymując się, potwór schował twarz za maszt, widziałem

tylko biodra i wierzch dłoni poprawiający ramiączko mokrej sukienki. Wtedy zza masztu zobaczyłem spojrzenie, skrzywdzone i pełne żalu. Miałem ochotę coś powiedzieć, lecz potwór w mgnieniu oka znalazł się za burtą.

XXIV

Stałem tak przed pustą framugą drzwi, patrząc na swoje krwawiące dłonie. Gęsta krew drżała od trzęsących się rąk jak galareta, czułem zimny przeciąg pchający mnie, bym wszedł dalej. Wpatrzony ciągle w swoje ręce, uniosłem prawą nogę, by przekroczyć próg. Krew zaczęła wypływać z ran coraz szybciej, dłonie jak dwa kielichy zaczęły napełniać się przez swoje dna. Kiedy kątem oka ujrzałem mijany próg na ułamek sekundy zapanowała ciemność, podobnie jak w jadącym pociągu przejeżdżającym przez krótki tunel. Ta ciemna chwila wessała mnie w dziwny stan nieważkości, straciłem poczucie równowagi, całe ciało nachyliło się do przodu. Staralem się za wszelką cenę nie rozlać własnej krwi w tym nieznanym, jakby już tylko ona była jedyną rzeczą jaka mi została. Moje ciało nabrało pędu i z impetem wszedłem do tajemniczego pomieszczenia. Zza swoich dłoni zobaczyłem podłogę, i kiedy skupiłem na niej wzrok, kielichy przepełniły się i krew leniwą strużką wystąpiła poza ich krawędzie. Pierwsza kropla delikatnie ułożyła się na znajomym już dywanie. Następne dołączały do niej tuląc się nawzajem. Ciemnoczerwona plama zaczęła robić się coraz większa, zacisnąłem dłonie, żeby jakoś

zatarować krwawienie. Nie pomogło. Spomiędzy palców wypływały pojedyncze strużki, coraz bardziej, intensywniej, obficie, paranoja. Plama na podłodze zbliżała się do ściany. Kiedy już prawie jej dotknęła, kiedy brakowało dosłownie milimetr, ściana zaczęła zasysać krew, tak zasysać, w brzegu krwistego jeziora zrobiła się śluza, przez którą krew zasilala czerwoną draperię na ścianie. Czerwień draperii odżywała, zakwitała, mogłem niemalże usłyszeć ciche skrzypienie drewna, coś jak uczucie ulgi. Im wyżej życiodajny płyn zostawał zasysany, tym głośniejszy słyszałem czyjeś głosy. Męskie, żeńskie, dzikie śmiechy i piski, Głuchy stukot bębnow i bełkotliwy saksofon. Za dużo, za dużo na moją głowę, nie mam siły walczyć o własną myśl, niech się dzieje co chce... Kiedy to pomyślałem, poczułem czyjąś rękę na ramieniu. I o to chodzi, i o to chodzi! Chodź, poznasz tych ludzi, dzisiaj impreza!!! Facet w bordowej marynarce i muszką pod szyją uśmiechnął się do mnie i zapraszającym gestem przedstawiciela handlowego odsłonił mi pomieszczenie. Kiedy kurtyna jego rękawa odsuwała się na bok, dźwięk i obraz uderzyły mnie ścianą nie do odparcia. Czerwona draperia, której kolor widocznie odżywał już na przeciwległej ścianie, złote ramy obrazów, to był ten sam pokój, ewentualnie identyczny jak tamten. Na środku stały trzy skórzane kanapy ułożone w podkowę, pomiędzy nimi dwa niskie stoliki z masywnego drewna, na których stały lampy z obłymi abażurami. Pokój wypełniony był masą ludzi, w ścisłości każdy niemal przytulony do siebie policzek przy policzku. Nad głowami unosił się dym z papierosów, pomiędzy ludźmi nie było już po prostu dla niego miejsca.

Dziki saksofon przekrzykiwał i tak głośne już rozmowy, kelnerzy ubrani na czarno z manierą żołdaka dygali przy każdym podanym drinku, w kącie po lewej stała grupka rozbawionych facetów z kapeluszami odrzuconymi lekko do tyłu, rozluźnionymi krawatami i jakimiś papierami pod pachą. Śmiali się z czegoś do łez, poklepywali się po plecach, pokazywali coś palcami na komodzie pod ścianą. Kiedy jeden z nich odsłonił mi komodę, zobaczyłem kanciastą niezwykle dużych rozmiarów maszynę liczącą z wielką metalową wajchą. Facet ze środka tej grupki wziął papierosa do ust i z przymrużonym jednym okiem, to patrzył na swoje papiery trzymane w jednej ręce, to wciskał guziki maszyny łudzaco podobne do guzików harmonii. Z narastającym uśmiechem, od którego cała twarz marszczyła się w obłąkanym grymasie, wbijał cyfrę po cyfrze. Reszta filuternych facecików jakby czekała, aż skończy, by wybuchnąć kolejną salwą śmiechu. Oczy ich rosły w niecierpliwości, pachy i dłonie zaciskały się na wymiętych papierach, aż ostatnia cyfra została wstukana w maszynę i zatrzeszczała metalowa wajcha. Przygotowany na kolejny wybuch euforii, chciałem przynajmniej zrezygnować z patrzenia na nich, lecz kiedy tylko obróciłem głowę, zamiast śmiechu w całej sali rozległy się oklaski, burza braw, każda szklanka została odstawiona na masywne stoliki lub na meble pod ścianami, każdy papieros dogorywał pośpiesznie zduszony w mosiądzowych popielnicach, lub zwisał w ustach, byleby tylko mieć dłonie wolne do aplauzu. Czulem się słaby, coraz słabszy, jakby draperia wypięła ostatnią kroplę mojej krwi. Faktycznie, dłonie nie krwawiły, a na podłodze nie było żadnego śladu.

Pokój natomiast wyglądał olśniewająco. Kryształowe girlandy pod tapicerowanym sufitem rozlewały niewymownie ciepłe światło. Ciepło, gorąco, suchość w ustach sprawiła, że zacząłem zgrzytać zębami. Korzystając z okazji, chwyciłem za najbliższą w zasięgu ręki szklankę i nie patrząc co w niej jest wypilem jednym zamaszystym haustem. Gorąco, ciepło, lepiej. Odstawiając jedną szklankę, drugą zobaczyłem pod nosem. To jeden z filuternych facecików zachęcał mnie do drugiego szybkiego, podczas, gdy reszta tymi samymi rosnącymi oczyma oczekiwała ode mnie wypicia. Nie namyślając się dłużej, łyknałem, po czym filuterni znów się roześmiali, i zaczęli poklepywać po plecach. Siły zaczęły mi wracać, światło było ciepłe, nie gorące, tuliło mnie przyjemnie, sklejało z resztą obecnych ludzi. Bez przerwy klaszczące dłonie też zaczynały się jakby do siebie kleić i kiedy brawa opadły, zobaczyłem pomiędzy ludźmi, jak na środkową kanapę siada Ważny. W mgnieniu oka zjawili się obok niego kelnerzy, proponując zapewne najlepsze specjały. Ubrany w nieskazitelnie gładki czarny garnitur i taką że muszkę, która wyglądała jak pasek powstrzymujący potężnie zbudowany kark przed eksplodowaniem. Idealnie ułożone brylantyną włosy błyszczały w ciepłym świetle lamp i żyrandoli, grube czarno krucze brwi jak rzeźbione wisały nad głęboko osadzonymi oczyma, ludzko uśmiechniętymi, odprężonymi i pełnymi wigoru. Z głębi sali wróciło dwóch kelnerów, jeden wsunął wprawnym ruchem grube cygaro między palce prawej dłoni Ważnego, a drugi na złotej tacy przyniósł masywną szklankę z bursztynowym płynem. Ważny sięgając po szklankę skinął

na kelnera, by ten nachylił się nieco i szepnął mu coś do ucha. W sali wszystko trochę ucichło, każdy kto był obecny kątem oka obserwował każdy gest Ważnego, ja sam podświadomie wyobrażałem sobie, coś Ważny może szeptać do ucha kelnerowi. Czy zauważyłeś coś podejrzanego, czy ktoś ociągał się z aplauzem? Czy ta gruba świnią w kącie nie bredziła czegoś? Kelner uśmiechnął się lekko ze służalczością w oczach i zniknął gdzieś w tłumie. Wtedy Ważny skinął na tego drugiego i przed jego twarzą rozbłysnął płomień zapalniczki. Zza chmury dymu widać było jak drugi kelner też nadstawia ucha i skinieniem głowy zapewnia o szybkim spełnieniu jakiegoś rozkazu. Przecisnął się między ludźmi i również zniknął lecz tylko na chwilę, bo zaraz po niej zobaczyłem go od pasa w górę stojącego ponad głowami zebranych. Drodzy przybysze, zebrani goście, panie i panowie, szanowny pan nasz komendant ma do państwa gorącą prośbę, ponieważ zauważył u niektórych z państwa lekkie skrępowanie czy też zbytne hamowanie emocji, szanowny pan nasz komendant prosi, abyście czuli się państwo, szanowny komendant nalega, szanowny pan komendant zapewnia, iż noc ta jest właśnie dla państwa, noc ta jest dedykowana dobrej zabawie, rozrywce i wszelkim uciechom, więc aby rozgrzać atmosferę, już za chwilę wystąpi dla państwa niezwykle utalentowana, olśniewająco piękna i zapewniam państwa, że niedługo niezwykle popularna... lekkie skrępowanie? Kurwa, myślę sobie, gdzie nie popatrzyasz, wszyscy pijani jak złoto, faceci od maszyny spoceni jak baki od opowiadania sprośnych dowcipów, gruba świnią w kącie spluwająca sobie na

brzuch, miętoszące się pary pod ścianą, ale sam przyznałem w duchu rację, każdy kąt oka starał się wylapać Ważnego i jego ruchy. Wyciągnąłem mocno szyję, żeby lepiej widzieć scenę, podest czy podwyższenie czy cokolwiek to było, na czym stał kelner, lecz wszyscy obecni po usłyszeniu wyraźnej prośby wyluzowania się zaczęli pałać jakąś nową, żywą energią, faceci w kapeluszach bili się z całej siły po kolanach konając niemalże ze śmiechu, gruba świnia w kącie też wyszczerzyła zęby i patrząc na zwisający z piersi glut rechotała rozbawiona. Ta dziwna energia wstąpiła chyba w całe pomieszczenie, krwista czerwień ścian zaczęła pulsować, co ułamek sekundy byłem trącany jakimś łokciem bądź też musiałem komuś zejść z drogi. Kiedy poirytowany z wyciągniętą szyją nie mogłem niczego dojrzeć, ktoś poklepał mnie po ramieniu. Odruchowo usunąłem się z drogi, lecz moje ramię zostało poklepane jeszcze raz. Odwróciłem się więc i ujrzałem faceta, około czterdziestoletniego, jak trzyma dwie szklanki bursztynowej wódki proponując mi jedną. Miał duże owalne okulary na nosie i rudawy wąs pod nosem. W połączeniu z plackiem łysiny na czubku głowy wyglądał dość zabawnie, więc z uśmiechem na twarzy przyjąłem drinka. Ten oswobodzoną ręką wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki chustkę i wytarł nią spocone czoło. Chowając ją z powrotem, zagadnął. Długo pan szedł? Długo. Odparłem lakonicznie, bo sam nie wiedziałem dokładnie ile trwał ten morderczy marsz. W tej chwili zdawało się to być wieki temu. Mnie udało się zabrać transportem kredytowym, a dobrowolnie czy z przymusu? Znak zapytania stanął mi nad głową, jakby w ogóle mogło komuś przyjść do głowy, żeby dobrowolnie

dawać się katować przez taki szmat drogi. Z przymusu. Zza refleksów w owalach pojawiło się współczujące spojrzenie, spojrzenie które jednak miało w sobie też trochę pogardy. Ja to nawet się cieszę, zawsze chciałem wyjechać z tego mojego grajdołka, nigdy nie mogłem wyjechać, to granice, to żonka z dziećmi, a teraz i tak nie było wyjścia, więc sam się zgłosiłem. Widząc, że rudy wąż już dobrze nasączony jest alkoholem, pomyślałem, że facet opowie mi coś więcej, poda chociaż jakieś mgliste szczegóły o co w tym wszystkim chodzi. I co pan będzie tutaj robił? Tutaj!? Niemal zachłystnął się wódką i wycierając usta próbował mówić jak najciszej. Tutaj nie można robić nic. Można robić wszystko, ale i tak wychodzi na jedno, więc lepiej tylko przytakiwać. Tam skąd pochodzimy już dawno zapadły decyzje, nic już tego nie zmieni, trzeba iść za duchem czasu. Najpierw odpracuję przejazd, a później się zobaczy, może uda się odłożyć trochę grosza, żeby przesłać żonie. A pan już wie co będzie robił? Obawiałem się tego pytania. Nie wiedziałem nawet dlaczego tu jestem, co dopiero co miałbym tu robić... Na razie się rozglądam. Odpowiedziałem unikając spotkania ze wzrokiem łysawego. Patrząc w bok zobaczyłem dwóch postawnych mężczyzn ubranych jak kelnerzy, lecz ta ich muskulatura rozrywająca niemalże białe koszule zdradzała jakieś inne zadania im powierzone. Odsunęliśmy się od siebie z łysawym, żeby ustąpić im miejsca, ale jeden z nich złapał mnie dyskretnie za łokieć i łamanym językiem szepnął mi do ucha. Jest pan proszony na rozmowę. Pan wybaczy, z kim? Dwie wielkie kanciaste twarze uśmiechnęły się do siebie i kiwaniem wskazywały mi drogę w stronę sceny.

Nie wiedząc co robić, oddałem szklanę łysawemu, na której zobaczyłem odciski palców z mojej krwi.

XXV

Muskularni zabrali mnie za kulisy całej tej imprezy, pomieszczenia niezbyt schludnego, z mnóstwem szmelcu i kolorowych szmat porozrzucanych po kątach. Po jednej stronie ciemne i ciężkie kotary. Pod ścianą standardowo lustro z okalającymi je żarówkami, dosłownie jak w filmie. Jak w filmie pomyślałem, bo w teatrze w życiu nie byłem, co dopiero za jego kulisami. Na kremowych toaletkach leżało mnóstwo przyborów kosmetycznej natury, pędzelki, pudry, sztuczne rzęsy, kremy, szminki, żele, złotawe i srebrne spinki, peruki, zapinki, wstążki i waciki. Do luster poprzyklejane sztuczne wąsy, widokówki i różne fotografie. Wszystko to wyglądało jakoś magicznie, zacisznie, tak cudownie kojąca skołataną głowę zachęcała by usiąść w jednym z obracanych foteli przed lustrem i dotknąć każdego przedmiotu, obmacać każdy kształt, być może popatrzeć na swoje odbicie. Tego jednak się bałem. Dlaczego? Nie wiem. Zza ściany dobiegało głucho bębnienie perkusji, basowy bęben układał swą ścieżkę w rytm skołatanego serca. Serce, serce, wciąż to serce. Nieprzerwanie bije, nieprzerwanie reaguje, czy smutek, radość czy strach przyśpiesza i szarpie się w tej klatce euforycznych rojeń, wybuchów i załamań. Choć jeden raz go nie słyszeć. A ponoć jestem już umarłym. Nic gorszego przytrafić by się

nie mogło, jak bicie własnego serca w ciasnej przestrzeni trumny. W ciasnej przestrzeni szuflady z kolorowymi zasłonkami. Teraz jednak słyszę jeszcze głosy zebranych, kaznodziei, za chwilę spodziewałem się usłyszeć odgłosy sypanych garściami grudek ziemi, objających się o trumnę. Jeden z muskularnych wynosił zza kotary owalny stolik i krzesła, podczas gdy drugi pokazał mi umywalkę. Czemu nie, pomyślałem. Żeliwny kran był pokryty grubą warstwą rdzy, kamienia i zeschniętych mydlin. Odkręciłem kran i powoli namydlałem dłonie. Nienawidzę brudnych rąk, każdy postępek i obce uściski pokrywają ręce tłustymi plamami. Każda waluta przedmiotów pożądania, tych najbardziej podłych i ciągle zmieniających właścicieli wgryza się pod paznokcie, te żółkną i brunatnieją. Ciągłe mydlane zaczynanie tego macania życia od nowa, kilka razy dziennie. Wstręt do siebie samego, gdzie byłeś, z kim spałeś, popatrz na swoje dłonie. Czyste ręce od rana wyciągnięte po jeszcze, w pocie czoła wymachiwanie nimi, podskakiwanie pod gałęzią, by schwycić choć jedną kiść złotego gówna. Oblakany uśmiech, gdy się uda choć na chwilę potrzymać je w dłoniach. Pełne ulgi przetarcie czoła tymi oto właśnie brudnymi rękoma. Moje moje moje, ciężko zarobione, zagrabione, wymacane. Po ciężkim dniu euforia znika, brud za paznokciami gryzie i pali. Woda, mydło, wzrok podniesiony na lustro. Czoło pokryte brązową mazią, przez ręce do głowy. Woda była zimna, nienawidzę myć rąk w zimnej wodzie. Stawy zgrzytają, a brud nie schodzi tak łatwo. Strzepałem resztki wody z dłoni i zakręciłem kurek. Stolik i dwa krzesła stały już przygotowane, na stoliku czerwona okrągła serweta i

mosiężna popielnica. Jeden z muskularnych zgasił lampki nad lustrami i zapalił żyrandol z szerokim blaszanym kloszem, nisko zwisający nad stolikiem. Przez moment odezwała się we mnie cicha nadzieja, która obiecywała spotkanie z kimś przychylnym, godnym zaufania, z kimś, kto wszystko wyjaśni i pozwoli się uspokoić, kto poradzi i wesprze ciepłym słowem. Nikt konkretny jednak nie przyszedł mi do głowy. Przez myśl przewijały się dziesiątki twarzy, znajomych, krewnych, kobiety ze sklepu z zatłuszczonym zeszytem w dłoniach, potem dziadek z fajką o ebonitowym ustniku, ta pieprzona menda, która przejęła moje mieszkanie, kilku premierów, kurw ulicznych i barowych, jakieś dziecko w stroju marynarza, z plastikową ciężarówką na konopnym sznurku i porcją lodów w dłoni, kobieta w czerwonej sukience, kilka żołdackich czapek z czarnymi daszkami, twarz zmasakrowanego orkiestranta, kobieta w czerwonej sukience, barman, śmieciarz, kelner, kobieta w czerwonej sukience, moje czyste ręce, kobieta w czerwonej sukience. Kobieta w czerwonej sukience, twarz w czerwonej sukience, brudne ręce w czerwonej sukience. Czerwona sukienka, twarz, oczy, serce, serce, serce, znowu serce, twarz kobiety w czerwonej sukience. Co ona mi zrobiła, jak można było na to pozwolić, ktoś jej musiał kazać, coś jej zrobili, żeby ona zrobiła to mnie. Kiedy to się stało, jak ujść mogło mojej uwadze takie nagie przeobrażenie? Czy siedziało to we mnie od początku? Czymże, kimże ona jest, że w tak podstępny i bezpardonowy sposób wlaźła do środka, tak pusto tam przecież, w dodatku czerwień sukienki od razu powinna być zauważona. Każda myśl teraz o niej odbija się echem, serce

serce, znów to serce. Nie będę z nią rozmawiał, wiedziałem, że ona jest szpiegiem, brudne ręce, mną ich nie umyje. Wszystko to kotłowało się w mojej głowie, czekałem już tylko, aż ta piękna obslizgła kobieta wyjdzie zza kotary i zacznie swoją grę, w której z góry byłem przegrany. Lecz oto zza kotary zamiast niej wyłoniła się doskonała, postawna figura ubrana w białą, lśniąca koszulę, z grubym cygarem w dłoni i muszką pod ogromną zuchwą. Witam Pana, rzekł Ważny.

XXVI

Jak minęła panu podróż, proszę, proszę usiąść. Rzekł z intrygującym uśmiechem na twarzy. Nad linią jego ogromnej zuchwy, rozchodziły się od ust półkoliste fałdki skóry. Zmarszczki te wyglądały, jakby Ważny uśmiechał się od urodzenia. Głębokie te rysy wyglądały niemalże jak fale uśmiechu, promieniującego na obie strony, a trzeba mieć na uwadze szerokość zuchwy, dzięki której fale zdawały się rozchodzić niezwykle daleko. I tak też było, uśmiech Ważnego wypełnił cały pokój, światło prostej żarówki z bladożółtego złamało się w ciepły pomarańcz, każda krawędź mebli i innych przedmiotów zyskały na plastyczności, kolana same się pode mną ugięły, więc bez szans na opanowanie chwili usiadłem na wskazanym miejscu. Nie spuszczałem oka z jego twarzy, nie mogłem, nie potrafiłem. Widzę, że nie jest pan zbyt rozmowny... Nie zdawałem sobie sprawy, że z półotwartymi ustami i ze

schnącymi oczyma patrzę i... proszę się nie krępować, nie panu nie grozi. Pytałem, jak panu podróż minęła, na pewno jest pan nieco strudzony, może kieliszek wina lub czegoś mocniejszego. Tu biel prawego mankietu uniosła się nad czerwień serwety i zaraz zabrzmiało szybkie pstryknięcie palcami. Obok Ważnego zjawił się muskularny i czekał na zamówienie. Uniosłem wzrok znad ust na oczy Ważnego, ten jednak patrzył w górę na muskularnego, wielkie oczy patrzące w górę. Aż nie chciało się uwierzyć. Słowa moje same jakby wyskoczyły mi z ust. Skoro pan rozplątał się nieco, to ja też zdejmę z siebie kurtkę. Zacząłem zdzierać powoli tę szmatę z ramion, jak pijany nie mogłem sobie poradzić z tak prostą czynnością, więc w sekundę po drgnięciu palca Ważnego, kurtka zdjęta została z pomocą muskularnego i powieszona na oparciu mojego krzesła. Mimo, że nie odpowiedziałem na pytanie, postawiono przede mną szklankę z brązową ciecżą. Już sam jej zapach rozgrzewał mi wnętrzości i brukował nozdrza znajomą nieczułością na inne zapachy, jak nietrzeźwość. Czego się pan obawia, panie... tu zatrzymał się na chwilę, skinął na muskularnego, i kiedy ten szeptał mu coś do ucha, wielkie nobliwe oczy Ważnego rozchyliły się nieco szerzej w lekkim zdziwieniu. To niemożliwe... to niemożliwe, że nie znamy pańskiego nazwiska, jak do tego mogło dojść? Muskularni ze ściągniętymi strachem twarzami rozłożyli bezradnie ręce. Zapanowała chwila niezręcznego milczenia, Ważny oczekiwał wciąż, że się przedstawię, lub że chociaż wezmę szklankę w dłoń. Najpierw zrobiłem to drugie. Ciepło, cieplej. Niczego się nie boję. Przecież sam pan powiedział, że bym się niczego nie obawiał. Czułem, że

brnę w gówno po szyję, że powoli szlam wlewa mi się do uszu i widać już tylko moją głowę, łapczywie czerpiącą powietrze po każdym łyku. Znowu jego lśniący, szarmancki uśmiech. Oczy lekko zmrużył i skierował wzrok gdzieś w kąt garderoby, wyraźnie rozbawiony tym wierzganiem, tym tańcem tonącej w gównie świni. Chociaż nie znamy pana nazwiska, to mimo wszystko wiemy o panu wystarczająco dużo. Przydałby się nam pan. Nie ma pan znajomych, rodziny, nie lubi pan ludzi, jest pan idealnym niemalże kandydatem do pracy dla nas. Do tego wszystkiego zachował pan jakimś cudem coś, czego ciągle poszukujemy. Tutaj mnie zażył, cóż ja, nastroszony kolcami, acz dziecinnie bezbronny jeż, przeżywający kiepy niedopałków pod oknami tak zwanej ludzkości, mógłbym mieć takiego, co ich interesuje? No niech pan nie robi takiej miny, pan dobrze wie, o co mi chodzi... To coś, to ziarenko mikroskopijnej wagi, takie niewielkie, niedostrzegalne, ulotne, niestałe, trafiając na podatny grunt, potrafi wykiełkować z niebywałą szybkością, z niezwykłą i nieznaną w przyrodzie siłą, kora na pniu nie zdąży nawet zdrewnieć, bo wzrost jest tak szybki, jest pan unikatem. Nieznaną nam ziemią, panie... tu Ważny znów zaciął się w swoich słowach, wyraźnie irytowało go to, że nie znał mojego imienia. No cóż, będę nazywał pana... Relikwiarzem. Tu naprawdę mnie zaskoczył, spodziewałem się gnidy, zdechlaka, jakiegoś numeru, uprzedmiotowienia, w każdym razie na pewno określenia pełnego poniżenia. Relikwiarz zaimponował mi jednak, w tamtej chwili podejrzewałem nawet Ważnego o swego rodzaju polot, uduchowanie. Nie zdawałem sobie sprawy, że

najprawdopodobniej relikwiarz też miał mnie poniżyć, pokazać, że moje miejsce jest gdzieś w podziemiach, lochach jakiegoś klasztoru na skale, gdzie nawet braciszkanie nie wiedzą, gdzie dokładnie ten sarkofag dla resztek historii jest wmurowany. Nie wiem, o czym pan mówi, panie Uważany. Mój zamiar dopieczenia rozmówcy również rozminął się z intencją, bo wyraźnie to określenie sprawiło Ważnemu przyjemność i satysfakcję. Mam natomiast pytanie, mam nadzieję, że nie obrazi się pan, że je zadam. Widzi pan, targa mną pewne zdziwienie, otóż, z jednej strony widzę, a i doświadczyłem tego na własnej skórze, brutalną siłę, zgniatającą każdy objaw niesubordynacji, te wszystkie transporty, masy szarych popychanych ludzi. Z drugiej zaś kolorowe tłumy, dziecinnie rubaszne i srogie zarazem, które bezkarnie plują panu na buty, te ich transparenty, kolory. Czy tu nastąpiła jakaś odmiana, odwilż, nie wiem jak to jeszcze nazwać. Kontrast miażdżonej twarzy z pochlebstwem rozwydrzenia. Przyznam, że nie rozumiem. Widać było, że Ważny już na samym początku moich słów ma gotową odpowiedź. Ach tak, mówi pan o kolorowych... no cóż, oni są tak samo równi jak pan. Widzi pan, to są zasady kierowania stadem, jakie znane były od dawna; jeśli ktoś decyduje się na bycie odmieńcem, w warunkach hermetyczności władanego terenu staje tym łatwiejszym w kontrolowaniu. Łatwiej znaleźć, wytropić. Działa tu też prawo łaski i rozdawania ulg. Każda świnia cieszy się z dodatkowo wydzielonego kęsa, nie wiedząc, że tak naprawdę to cały garnek należy do niej. I tak samo jest z kolorowymi. W imię równości chcą więcej i więcej, a nie są nawet

świadomi, że w imię tej samej równości jednym dają, prawda, ale wielu też zabierają. W finale niewiadomo nawet gdzie się podziła lwia część wszelakiego dobra. Tu wtrąciłem się w jego monolog. Ktoś to musi w końcu podzielić. Uśmiechnął się, pokój znów pojaśniał.

XXVII

Nie wiem, czy to ta brązowa wódka, czy brak rozumu, ale czułem się całkowicie swobodnie. Miałem ochotę żartem zapytać, czy przyjdą dziewczyny i czy może muskularni też mają ochotę się napić. Szybko jednak zweryfikowałem swoją myśl, kolejne pytanie nasunęło się na język. Jak słyszę, nie ma pan zbyt wielkiego szacunku do tych ludzi, nazywa pan ich świniami... O, proszę pana, szacunek nie ma tutaj nic do rzeczy. Świni można nie lubić, ale lubi się to, co z niej można zrobić. Każdy dobry rzeźnik w kielbasie wyczuje bite mięso, świnię często trzeba poklepać, pogłaskać, porozmawiać z nią, chronić. Nikt tak naprawdę nie wygrał dzięki broni, pociskom, terrorem. Można wygrać tylko dzięki fali pieniądza, w tym naszym gospodarskim obrazowaniu - dzięki paszy. Świnia musi czuć się bezpiecznie, wiedzieć, że nie odgryza się ręki, która ją karmi. Tak... to musi wiedzieć. O wszystko inne nie musi się martwić. I większości to wystarcza. Ponarzekać zawsze można, to jest nawet potrzebne, gdyby wszystko było idealne, nie mogłoby być uważane za prawdziwe. Nawet

świnie nie wierzą w takie cuda. A pan? Pan wierzy w cuda? Tego to naprawdę się nie spodziewałem. Wciąż pogrążony byłem w prądzie myśli o tym, jakże podobny jest ten Ważny do mnie, jak bardzo gardzi ludźmi, tylko zamiast omijać te świnie, jak ich nazwał, tańczy przed nimi i w chwili nieuwagi kopie je ciężkim buciorem prosto w ryj. Jakże często miałem na to ochotę. Czysta nienawiść skumulowana w jednym brutalnym ciosie. Wszystko jedno, czy to dźwięk, gest czy słowo. Krótka wiadomość, którą zrozumiałby każdy i każdy usłyszał. Krótka wiadomość zamiast bezsensownych prób tłumaczenia czegokolwiek, zagłębiania się w szczegóły. Czy ja wierzę w cuda... jeśli pan pyta o... - tu przerwał mi – nie pytam o bogów, czy modli się pan, to robi każdy, nawet jeśli o tym nie wie, gdzieś w kącie każdej głowy chowa się cudowny obiekt pożądania, od którego tak wiele zależy. O to może pan być spokojny, w wielu kątach już jesteśmy. Pytam o cuda, których nikt nie jest w stanie wyjaśnić, schwytać i ujarzmić. Pomyślałem wtedy o jednym spojrzeniu... chociaż i tak nie wiedziałem, co mam powiedzieć, Ważny mówił dalej, poczułem się jakby mi ktoś przerwał. Otóż widzi pan, ja w nie wierzę. I jeden taki cud ma pan we własnej głowie. I, wstyd się przyznać, czuję się wobec niego bezradny. Choćbym pana torturował godzinami, nic nie wskóram. Cud ten jak płocha ptaszyna odleci, kiedy tylko zbliżę do niej swoją rękę, ba, kiedy krzyknę zaledwie. Każdy nacisk zafałszuje tylko czystość tego zjawiska, obetnie mu głowę i pozostawi jedynie martwe ciało dla rozkładu. Próbowałem, może mi pan wierzyć. Wierzyłem. Po tej całej wędrówce i wszystkich przykrościach tego rzeczywiście mogłem być

pewien. Widzi pan, jedyny mankament naszej wszechwładzy dobrobytu polega na tym, że coraz mniej mamy okazji tego cudu dla eksperymentowania i poznania tej tajemnicy. Można powiedzieć, że ma pan szczęście, panie Relikwiarzu, bo w tym momencie naprawdę nie chcemy zrobić panu krzywdy. Nie wytrzymałem w końcu i zapytałem. Proszę mi wybaczyć, ale żebym nie wiem jak bardzo się starał zrozumieć to wszystko, o czym pan mówi, nie rozumiem. Cóż to za cud, któremu zdaje się życie zawdzięczać, co to takiego!? Pokój pojaśniał znów delikatnie. Pańska myśl, proszę pana.

XXVIII

Rozmowa, jakkolwiek miła, musiała kiedyś się skończyć wraz ze swoją dobrocią i tulącym, ojcowskim niemalże, uśmiechem Ważnego. Staął przede mną wybór. Odwrotnie. To ja stanąłem przed wyborem. Wybór jak gruby szorstki mur wpity głęboko w ziemię podpierał niebo, nie pozwalając dostrzec jego krawędzi. Zostawiono mnie samego w garderobie. Głuche dudnienie za ścianą przyspieszyło. Serce też. Myśl bezwiednie puściła się wzdłuż muru, wpatrzona w ziemię, nie wiedziała, co począć. Co wybrać. Zastanawiało mnie nie to, co powinienem, czego powinienem się wystrzegać, lecz to, co wybrać. Co wybrać. Każda z opcji była zła. Prominentność aparatu, czy powolna śmierć odmóżdżenia. Prominentność odmóżdżenia, czy powolna śmierć. I snuło się powoli to

umęczone stworzenie, z nogi na nogę, choć witkami w mur było w rytm tego bębna w środku, jakby chciało jeszcze ostatkiem sił spróbować skruszyć mur wyboru i w jego gruzach odnaleźć третią drogę. Zawsze myślałem, że trzecia droga jest możliwa. Że zawsze gdzieś jest trzecia droga. Moja droga. Bez zgnilizny powielania, bez chamstwa ślepego oporu, tylko własna głowa obracająca się między ścianami przepaści czasu. Szybko jednak zobaczyłem inne głowy lecące obok. Jedna spoglądająca, dwie pokrzepione, setki utwierdzone w przekonaniu, tysiące krzyczące, szare setki tysięcy. Aż spadłem na dno kolejnych dwóch dróg, dwóch możliwości. Wszystko, co uważałem za własne, szybko okazywało się takie samo, wszystko, co tak pieściłem i dopracowywałem do każdego szczegółu, okazywało się tak samo obłe i nieostre jak reszta. Nie byłem sam. I to wkurwiała najbardziej. Teraz stoję przed tym murem, chociaż sam, to jednak wkurwiony. Wkurwiony i bezradny. Kiedy myśl tak zatopiona w sobie samej wędrowała wzdłuż muru, jej witka wydobyła z niego dziwny dźwięk. Jak się okazało w murze były dwuskrzydłowe żelazne drzwi. Zbrojone mosiężnymi guzami, ciężkie i zaśniedziałe, nie miały klamek ani żadnych otworów na klucz. Jeszcze tylko mgły brakowało. Była i mgła. Nie wiem, czy to serce, czy witka, czy witka kierowana sercem, zapukała do drzwi po raz kolejny. Bałem się. Naprawdę. Już wiedziałem, że wszelki strach odczuwany dotychczas w moim życiu był niczym. Strach w świecie fantazji. Farsa. Każde najmniejsze ziarenko czasu przetaczało się z wielkim hukiem, niektóre spadały gdzieś z góry, czyniąc wgniecenia w ziemi i ciężko turlając się dalej.

Drzwi otworzyły się wreszcie z przenikliwym piskiem. W środku ciemność i wiejący chłód. Gdzieś w głębi migotała pochodnia. Stałem jak wryty, pytanie zostawało wciąż to samo – co wybrać. Pytanie to samo, lecz wielkie ziarenka były już policzone. Wtem w progu stanął Ważny, a jakże. W czarnym lśniącem płaszczu, przytrzymał pod brodą jego kołnierz, jakby bał się przeziębici. I ten jego uśmiech czarownika. Zaczarowany, zapraszający do środka. Patrzył mi prosto w oczy, wielkie oczy błyszczące w ciemności. Prawie nieprzytomny przymknąłem swoje. I obróciłem się na pięcie. Kiedy je znowu otworzyłem, stałem przez ciężarówką znajomych mi gabarytów.

XXIX

Czy tak ma wyglądać śmierć, i czy tyle ma ona trwać... Choć od wyboru przed stalowymi drzwiami minęły zaledwie godziny, nie mogłem sobie nijak przypomnieć, jak właściwie doszło do tego, że akurat ta ze złych opcji została wybrana. Nie było odwrotu, stało się to zwyczajem. Bez odwrotu i bez czasu na przemyślenia. Jak często człowiek miał szansę odwrotu, i jak często mylił ją ze zwykłym tchórzostwem. Swoista elipsa teorii zbliżenia. Rozpoczyna się z zerowego punktu, jakieś przypadkowe zderzenie się na ulicy, jakieś przypadkowe przecięcie wzrokiem nitki snutej przez inny wzrok, jakiś przypadkowy przedmiot zainteresowania, okazujący się być wspólnym, punktem zero. Eksplozja następuje natychmiastowo, łukowata linia

wzbija się w górę w miarę upływu sekund, szybko, coraz szybciej, jeśli czas nie byłby tak wszechmogący, pięłaby się pionowo. Linia nagłego zainteresowania. Jakże piękny w tych ułamkach chwil wydaje się być ten ktoś, niesamowity, zaczarowany, olśniewająco jedyny na ziemi, tak, to jest to czego chcę, teraz i tutaj. Lecz jest jeszcze druga część elipsy. Linia wycofania. Szybko biegnie jak ta pierwsza, tak samo porywana czasem, ale w dół. Linia zachowawcza dobrego zwyczaju, nie znam go przecież, może mnie oszukać, nie dam się zwieść. Po ulicznym zderzeniu i chwilowej intymnej bliskości odskakujesz od niej. Ogarniasz fryzurę, gładzisz obrócony kołnierz płaszcza, udajesz nawet zirytowanego, co za ślepa baba. Mimo tego postępującego wycofania, w środku coraz goręcej zaczyna kotłować się zainteresowanie tą osobą, już po rozejściu się ciągle pamiętasz ten zapach perfum, te rozrzucone w powietrzu kosmyki włosów, które gdyby nie głowa, odleciałyby gdzieś ponad dachy. I wychodzi na to, że podświadomie, z czasem już jednak coraz bardziej świadomie szukasz tej głupiej baby na ulicy, wodzisz wzrokiem w każde okno autobusu, wchodząc do każdego tramwaju tylnymi drzwiami przechodzisz do kasownika na samym przedzie. Na co dzień każda ładząco podobna do siebie teraz nie pasuje do układanki. Bo zasady są inne. Zasada jest jedna. Elipsa. Jedna linia w górę, druga w dół. Chodzisz po ulicach, wybierając się idziesz jedną drogą, wracasz inną, byle jak najdłuższą, bo wiesz dobrze, że u siebie w domu tej ślepej baby nie spotkasz.

XXX

Transportowi żołdacy tak sprawnie nas zapakowali do aut, że nawet nie zdążyłem się do końca ocknąć po wrażeniach związanych z wyborem. Tak, byłem oszołomiony. Nie pierwszy raz to przecie, pomyślałem sobie. Mimo wszystko szok ten był tak tępy i zaległy, że wydawało mi się, jakby wszystkie zeschnięte niedobre wrażenia zerwano gdzieś z mojego środka i zaparzone je upchnięte w czajniczku. Coś, co powinno się podawać mocno rozrzedzone, wypilem jednym haustem, w dodatku gorące. Niedobrze, nie źle, było mi niedobrze. Ciężkość, wynędzniała wytrawność chwili, zgorzkniały ślinotok wieszczący niechybny zwrot, belt wymiocin, który i tak nie zapowiadał się być niczym innym, jak tylko rzadką pianą niemocy... tknął mnie dziwny zawód, puste uniesienie się nad człowieczeństwem i jego ciągłym dążeniu do tak zwanej nowoczesności, lepszego jutra, wydumanej bańki szczęśliwości. Czułem się zawiedziony czymś, czego początków nie mogłem zobaczyć, a czego koniec wydawał się być końcem świata. Świata, w którym rozmarzone wyszukanie i dążność do ogrodów ideału przerodziło się w brutalne mutowanie natury myśli. Jak często chwalimy się czymś nowym, czymś czego jeszcze nie było, jakże to często zachwalana ta nowość pochwalona jest tylko dlatego właśnie, że wcześniej jej nie było. Doszliśmy do miejsca, gdzie piękno stworzone dla ludzi, uznane zostaje za piękno tylko dlatego, że nie ma z nimi nic wspólnego. Szczycimy się rzeczami, unosząc je pod niebiosa, które uznajemy za wyłączny twór swojego

umysłu. Jednocześnie siłą zmuszamy myśl do ucieczki przed jej źródłem. Ponad siebie jako ludzkość unosimy twórczość i dzieła, które oddzielne są na wskroś, twory te zaczynają żyć własnym życiem, a wciąż chwalone przez niższą w hierarchii ludzkość zaczynają też i rządzić. Zapomnieliśmy, komu służymy. Wśród zbetonowanej masy egoistów zabrakło egoizmu kolektywnego, takiego, który w naturalny sposób nie pozwoliłby degradować się do rabów niewdzięcznego potomstwa naszych myśli. Geny naszej myśli zmutowały do tego stopnia, że samo już ukazywanie na związek naszego umysłu i jego pomysłów jest traktowane jako bezbożność i bluźnierstwo. Dzieło głowy nie ma już zachwycać, skłaniać do płodzenia kolejnych dzieł, ma być nowe, inne, najlepsze. I najlepiej błyszczące z pobrzękiem złota. Po kolejnych seriach mutacji sama myśl zanika zupełnie, lub w szczątkach rozbita kładzie się gdzieś w przydrożnym rowie i przysypia. Twór nowy natomiast skrzydła swoje rozwija i łopocze nimi z przeraźliwym łoskotem, przygniata ogromem, maszynierią z oślepiającymi milionami świecełek, zapycha każdą szczelinę, gdzie nie ma jeszcze nowości, najnowszej i najlepszej z możliwych. Nic co nie jest najnowsze, nie może być najlepsze. Nic, co jest najlepsze, nie może odwołać się do tak zwanego przeżytku. Ideał gonienia myśli zanikł, leży przecież w rowie, i nawet szturchnięta, ochrypłym głosem mamrocze coś pod nosem bez sensu. Po tak długiej niewoli w kajdanach myśli, pokonaliśmy ją wreszcie i zepchnęliśmy na margines. Wreszcie możemy poczuć się lepsi od niej. Kiedyś nieuchwytna, teraz w każdej chwili może być wytknięta palcem i wykpiona. Lecz nawet i na to nie mamy

ochoty, nie chcemy na nią patrzeć, nie ma zresztą na nią miejsca. Wszelkie otwory swojego ciała i duszy zatykamy jakością wyższą, najlepszą, w pełni syntetyczną nowością. Bez przodków i relacji. Narodził się nowy, prawdziwy bóg. Z łona świętej niepokalanej pustoty i nasienia parycydalnego wstrętu do własnej natury, oto zbawca naszych czasów, ery zajebizmu. Czy nie potrafimy już wymyśleć siebie na nowo? Czy koniecznym jest upodlanie siebie samych dla tak zwanego dobra wyższego? Czy już żadna iskra nie tli się w środku, choćby na samym dnie, by na niej położyć te brudne nasze łachmany, które zapłonęłyby feerią barw w ciemności, zadziwiłyby nas, każdego z osobna? I patrząc, jak ta ludzka zorza pnie się ciągle w górę, z dumą moglibyśmy ogrzewać swoje nagie ciała jak przy swoim? Czy już nic NOWEgo człowiek nie potrafił dochować do tych czasów?! Czy ma pan może jeszcze tę chusteczkę, którą panu dałam. Zapytała zza przytkniętych do nosa dłoni, pomiędzy palców sączyła się gęsta krew. Bez słowa wyjąłem krwawą kulkę i podałem Sukience. Nie miałem pojęcia, jak się tu znalazła. Jej posiniaczona twarz ucieszyła mnie jednak. I nic na to nie mogłem poradzić. Głupkowaty uśmiech pojawił się na mojej twarzy, a rozbiegane radośnie oczy nie mogły się skupić na jednym miejscu sklejonych ze sobą dłoni i twarzy. Nie wytrzymała i po szybkim oderwaniu rąk od nosa wykrzyzczała. Co cię tak kurwa bawi, nie dostałeś nigdy w mordę?! Ostatnie ę zostało nienaturalnie urwane z powodu szybkiej strużki krwi, która popłynęła po ustach. Uśmiech jednak nie zniknął z mojej gęby, a przemienił się w pełni zachwycone zadowolenie. Usta znowu były

krwiście czerwone. Była piękna. Piękna obita morda z krwistymi ustami.

XXXI

To głupie, ale cieszę się, że pani tu jest. Jak niesforny chłopaczyna wbijałem energicznie ręce w kieszenie i kołysząc się wesoło przenosiłem ciężar ciała z nogi na nogę. Sukienka, obrócona do mnie lewym profilem, podniosła głowę w górę, tamując prawą ręką trzymającą brudną kulkę chusteczki krew. Od smukłości nadgarstka bezwiednie odszczepiała się krawędź wystrzępionego płaszcza, o dobrych kilka numerów za dużego. Z trzech guzików mankietu został tylko jeden, w pustych miejscach wisiały poczerniałe nitki, będąc świadectwem szarpaniny, jakiej Sukienka musiała doświadczyć tej nocy. Wzrok wrócił na smukły nadgarstek. Posiniaczony wyglądał jak zmaltretowany kwiat w poobijanym wazonie. Kwiat, czerwona konwalija, pomyślałem, to głupie, myślę sobie... ale nie!, po tym, jak zbrodnia wyrzuciła kwiat za pierwszy lepszy próg, siła Życia po całonocnej wędrówce znalazła go w końcu i wzięła w objęcia. Kilka domów dalej znalazła stary, poobijany wazon i włożyła w nie kwiat. Czerwona, zakrwawiona Konwalija w poobijanym wazonie. Chłonałem ten widok, nie mogąc wyjść z podziwu. Falująca linia podbródka i szyi po prostu zachwyciły. Na chwilę nie dookoła nie było ważne, choć nigdy tak do końca nie było ważne, to jednak czasem się liczyło, lub też trzeba było się

z tym liczyć. W tej chwili jednak nie było sensu nawet o tym rozmyślać, tylko chłonać, wciągać w swój środek i tulić tak długo jak się tylko da. W pewnym momencie tego zapierającego dech w piersiach widowiska grdyka Sukienki zaczęła drgać, a Ona sama zaczęła chichotać. Najpierw głucho, głęboko w środku, lecz powoli śmiech jej wydostawał się z piersi i już po chwili kobieta zanosila się od śmiechu z głową ciągle zadartą do góry. Co się pani stało, oszalała... utrapienie tej nocy było jednak nie do wytrzymania. Siła życia pozbawiona została świadomości swojego piękna. Była już tylko wyprostowaną łodygą, a czerwień tylko krwistą plamą. Nie mogłem w to uwierzyć. Nie chciałem w to wierzyć. Nie wierzyłem. Uśmiech spłynął mi niemo z twarzy i po rękawach schował się gdzieś w głębi kieszeni. Co się pani stało, dlaczego się pani śmieje, z czego się pani śmieje?! Chichot, śmiech powoli zamilkł i po szybkim odkrztuszeniu i przełknięciu krwistej śliny odezwała się. Nigdy nie wiadomo, powiedziała, nigdy nie wiadomo, kiedy jeszcze będzie się można śmiać. Opuściła głowę i spojrzała na mnie. Nastala chwila milczenia. Nie mogłem jej popatrzeć w oczy. Nie mogłem. A może nie chciałem... po naocznym przekonaniu się o śmierci życia nie chciałem już patrzeć umarłej w oczy. Jedyne co mogłem zrobić, to zamknąć jej powieki, twarz obracając w innym kierunku, byle tylko nie patrzeć na puste jej oczy. Chyba pana lubię.

XXXII

Kolejne tąpnięcie, kolejny początek i kolejny koniec. Staliśmy ramię w ramię naprzeciw obdrapanej ciężarówce, powoli otaczani coraz to nowymi ludźmi. Kiedy słyszałem warkoczące krzyki żołdaków i drobne, nierówne kroki popędzanych osób, odruchowo odwracałem głowę. Nie bez przerażenia przerzucałem wzrok za swoje ramię, twarz chowając za barkiem. Jakże bzdurne było to uczucie, że za własnym ciałem mogę schować się przed oprawcami. We wcześniejszym życiu, jak już powoli zaczynałem to nazywać, była to dość prosta i niezwykle skuteczna metoda. Odrażające i wychudzone, jakimś cudem chodzące jeszcze zwłoki były jak przeźroczyste, idealna kryjówka, w dodatku przenośna. Nikt nie widział, bo nikt nie patrzył. W każdym miejscu w jakim tylko mogłem się znaleźć, wystarczyło wzrok do kieszeni schować, twarz między barki włożyć, i w takim to kokonie można było toczyć swoją myśl. Po chodnikach, ulicach i wszelkich zakamarkach. Ten jeden moment, gdzieś bliżej początku, kiedy to jak zgnita bulwa na osobną zostało się rzuconym kupkę, ten jeden moment wystarczył. Wystarczył, żeby pewne zasady obowiązywały. Skreślony mógł wierzyć w skreślonych bogów, skreślony był skreślony na wieki, skreślony zamienił się w zmazanego, zmazany stawał się niewidoczny. I nie było mowy o równości. Lecz i ci powszechni, wspaniali i ci niewidoczni potrafili czerpać siłę. Nikt nie chciał być taki sam. Po jednej stronie nikt, po drugiej ktoś. Nikt był nikim, a ktoś był jak ktoś drugi. To wszystko co widziałem przez

ostatnie dni, miesiące, czy lata, sam już nie wiem ile to już się toczy, było całkowitym zaprzeczeniem poprzedniego. Wszyscy podobni do nikogo. Kimś zostać można było tylko wtedy, kiedy było się nikim.

W końcu to tylko moje ciało, pomyślałem trzymając mordę za ramieniem, choć tego nie byłem już taki pewien. Uciec od własnego ciała, to nie było takie trudne, skąd jednak mieć pewność, że to ciało nie jest mi potrzebne by istnieć... Kiedy spojrzałem na Sukienkę, sprawiała wrażenie, że jej udało się rozgryźć tę zagadkę. Wpatrzona gdzieś ponad głowy zbierających się, czy też zbieranych przez żołdaków, ludzi, wydawała się być kompletnie nieobecna. Zaschnięta plamka krwi i siniaki na policzkach ciągle przypominały okropieństwa, jakie musiały ją spotkać zeszłej nocy. Mimo to, jej tutaj nie było. Od czasu do czasu tylko przerzucała wzrok z jednego na jakiś inny punkt, gdzieś tam, aż za horyzont, gdzie widać było tylko kołyszące się na wietrze trawy płaskich pól. Usilnie próbowałem pójść jej śladem, starałem się wyrzucić z tego ciała siebie, chociaż na chwilę. Nie potrafiłem, okalające mnie przerażenie, moje i innych ludzi, rozpraszało wszelką próbę izolacji. Kolejny z pieprzonych stadnych instynktów. Lata prób, ideowych uzasadnień bezsensu tych przeklętych podarunków natury, które powoli przeradzały się w zwykłą niechęć, a później w czystą obojętność. I to wszystko pryska jak niehartowane szkło szklanki zalanej wrzącą wodą. Żołądek łapały skurcze, które powodowały torsję całego ciała. Usta schowane za ramieniem nerwowo pocierały się o siebie, od czasu do czasu przygryzane zębami. Tępienie nastąpiło, lecz czy to miał być początek, czy koniec, tego nie

wiedzialem. Gdybym tylko potrafil zaczerpnac tego spokoju Sukienki, wyciagnac i podac jej dloni, poczuć jak tętno w ściśniętych palcach zwalnia, zastyga, a pierś wypuszcza powietrze po głębokim, odprężającym oddechu. Wdech. Zamknalem oczy. Nie wytrzymałem nawet kilku sekund i wypuscilem powietrze. Krew jeszcze szybciej buzowała mi w żyłach. Nie pomogło. Lecz jakże miało pomóc, kiedy Sukienki i jej spokoju tutaj po prostu nie było. Skoro przeskoczyła już horyzont, na którym ostatecznie zatrzymały się oczy, jakże moja dłoń miała by dosięgnąć jej dłoni!? Zrezygnowany opuściłem głowę i tępo zatrzymałem wzrok na zbłoconej oponie ciężarówki.

XXXIII

Po całym dniu spędzonym na ciężarówce wolno borykającej się z wybojami bezdroży dojechaliśmy do jakiegoś miasta. Było bardzo podobne do tego, w którym byliśmy wcześniej, powietrze wypełnione było tą samą wilgocią, co wtedy. Byłem pewien, że gdzieś blisko jest morze. Kiedy dosłownie wysypaliśmy się z ciężarówki na dość dużym asfaltowym parkingu otoczonym wysokim ogrodzeniem, mogłem niemal usłyszeć szum fal. Jak się szybko okazało, były to sunące auta i ogólny ruch tętniącego życiem miejskiego molocha. Życie miejskiego molocha. Brzmi fatalnie. Zobaczyłem ludzi ze spuszczoneymi głowami, jak biegiem niemalże zmierzają w im tylko wiadomym kierunku. Każdy z nich bał się spojrzeć

na otoczenie, na wszystkie szklane wieżowce i opasłe gmachy, jakby zaraz po tym to wszystko miało im spaść na głowę. Szybko, szybko, szybciej. Mnie było wszystko jedno. Spojrzałem w górę i od razu poczułem się jak w wielkiej stalowo-szklanej studni, na samym jej dnie. I nawet ten niewielki skrawek nieba, jaki spodziewałem się zobaczyć między wieżowcami, zasłonięty był ciężkimi chmurami, powoli sunącymi ponad tym wszystkim. Żołdacy trochę jakby speszeni nie krzyczeli, nie popychali nas, kazali nam tylko podzielić się na kilkusobowe grupki, pod które podjeżdżały osobowe minibusy. Mnie, Sukience i jeszcze dwóm facetom kazano iść w stronę pomarańczowego szlabanu bramy. Czego oni od nas chcą, szepnąłem do reszty. Starszy jegomość w kapeluszu i z okrągłymi okularami na nosie spojrzał na mnie, jakby niedowierzając, że nie domyślam się, o co chodzi. Popatrzył na drugiego, krępego i umięśnionego osiłka i nadal szedł w milczeniu. Osilek nie zniżając nawet głosu do poziomu mojego pytania odparł bez pardonu. Nie zadawaj pan głupich pytań, pan też przecież do roboty. Roboty? O co chodzi z tą robotą, od początku tej fatalnej farsy ciągle słyszę o jakiejś robocie, wszyscy mówią o niej z dzikim podnieceniem, skrytą obawą, że jej braknie lub w ogóle nie będzie. Czy tylko ja przyjechałem tutaj z przymusu? Co się alienujesz, usłyszałem od Sukienki. Nie zdałem sobie nawet sprawy, że zatrzymałem się na chwilę. Zobaczyłem na tle pleców tamtych dwóch jej twarz, uśmiechniętą w zadziornym grymasie. Ocknąłem się i szybko dołączyłem do niej, ledwo unikając szturchnięcia kolby karabinu w plecy. Ona ciągle się uśmiechała, czułem to, chociaż na nią

nie patrzyłem. Mieć uśmiech u swego boku, jakże to miłe i bezpiecznie pocieszające. Na przekór wszystkiemu, co dokoła, na mojej gębie też pojawił się uśmiech. Na przekór nawet mnie. Nie walczyłem z tym, nie chciałem z tym walczyć. Gdzieś tutaj jest morze, powiedziałem, i ja to czuję. Oboje zmrużyliśmy oczy i zaczęliśmy wpatrywać się gdzieś, przenikając stal i beton i szyny sunących ołowianych chmur. Tak jak uśmiech pojawił się sam, tak mnie i jej nie było już w tym miejscu. Siłą chciałem wyskoczyć z siebie, tymczasem stało się to samowolnie. Fale, szum morza. Ono tu jest, i ja to czuję. Ja też. Odparła.

XXXIV

Tyle razy prosiłem Bogów o zdarzenia i rzeczy, które w rzeczywistości nie mogły się zdarzyć, że w miejscu ostatnich moich chwil, jak mniemałem, nie miałem nawet odwagi wypowiedzieć w duszy słowa prośby, gryzłem się w język co chwila, bo wiedziałem, że ktoś już naznaczył mi ścieżkę, ktoś już pomyślał za mnie. I nie widziałem w tym nic złego, sam przecież nie potrafiłem niczego zaplanować, niczego nie zbudowałem, więc nie było czego rujnować. Tylko ta śmierć, tak powolna, tak w czasie rozłożona, że aż bez znaczenia. Tylko ona doskwierała mi jakoś mimowolnie. Jakież to głupie udawać przed samym sobą, że śmierć nie ma znaczenia. Jeśli śmierć nie ma znaczenia, to jakież znaczenie ma mieć życie? Żyjąc życie prosimy o śmierć, bo dość go mamy, bo się stało nudne i przykre, bo

za mało wrażeń, a kiedy nadejść ma ten jeden krótki fajerwerk, po którym nie ma być już nic, lub cała wieczność, mrużymy oczy i z całych sił swoich staramy się go nie widzieć. Znowu niewdzięczność? A potem chwalimy się, że przeżyliśmy własną śmierć, zmyślamy jakież to ekscytujące z nadzieją, że historia dość jest interesująca. Nie miałem ochoty wracać. Chciałem zostać w tej mgie jak najdłużej. Była mokra i ciepła. Przyjemnie głąskała dłoń. Dzień za dniem, noc za nocą otulała mnie do snu. Widziałem góry, jeziora, lasy, miasta, wsie, Rzeki i mosty, nie mogłem dojrzeć tylko morza. Może tam wreszcie dałoby się umrzeć?

XXXV

Oboje mieliśmy rację. W butach miałem piasek, a nozdrza wypełniał słonawy zapach morskiej wody. Patrzyłem na rozmazany szarówką horyzont, a na nim mały punkcik jakiegoś statku. Staliśmy przed ogromnych rozmiarów wiatrakiem. Wielkie obracające się ramiona to rzucały na nas cień, to odkrywały nasze głowy dla ciepłych promieni. Równie zmienna była teraz myśl. Na przemian otulały mnie wielkie cieniste łapska, wciskając do głowy strach przed niechybnym końcem, to znowu słońce swoim ciepłem nasycalo umysł i kazało cieszyć się tą chwilą morskiego spokoju. Obróciłem się i zobaczyłem kilka następnych obracających się wiatraków, oczy wyobraźni od razu zobaczyły setki, setki setek, aż po horyzont, Dowiedziałem

się, że mam pracować w jednym z tych olbrzymów, gdzieś w głębi ładu. Powinienem się cieszyć, tak mówili. Praca to sens życia. Żyje się, by pracować i dojść do czegoś, inaczej życie nie jest życiem. Praca jest przywilejem. Mówili tak kiedyś, mówią tak i teraz. Jak korona ze złotego papieru na różowej gumce, leżąca na chodniku. Każą mi teraz podnieść ją i założyć ją sobie na głowę. Różowa gumka, wyraźnie za krótka szczypie w podbródek przez co gęba sama układa się w wymuszony grymas uśmiechu. Z dala od domu, którego nie mam, w złotej papierowej koronie podniesionej z chodnika. Na różowej gumce. Debilnie uśmiechnięty. Nie zdążyłem nawet przyjrzeć się falom.

XXXVI

Mówili jeszcze, że w tartaku ciężko, ale się opłaca. Jeden z moich przyszłych współpracowników tłumaczył słowa tak zwanego gospodarza, wpatrując się w jego oślinione wargi ze zmarszczonymi brwiami, i poruszał ustami każde słowo powtarzając za nim. Ale za to szybka kasa. Na to niewielki tłumek, w którym stałem ożywił się i cichymi poszeptami dał wyraz aprobaty. Nad nami powiewały żagle ogromnego wiatraka, podobnego do tego nad morzem. Na środku jednak obracała się niebieska płachta ze złotymi gwiazdami ułożonymi w koło. No klaszcz, zadrwiłem w duchu. Nabrałem tyle powietrza, ile tylko zmieściło mi się w moich zasmolonych płucach. Po kilku sekundach nie oddychania, zaczęło szumieć mi w uszach, szum zasłonił wywody w

nieznanym mi języku, widziałem już tylko oślinione, mięsiste wargi gospodarza, niemo wyginające się w połamany takt słów. Co chwilę, pomiędzy nimi pojawiał się różowy koniuszek języka, który polizywał to jedną, to drugą wargę. Nie chciałem patrzeć wyżej. Wystarczał mi obrzydliwy widok tych warg, mięsistych jak napite glisty. W miarę jak organizm chciał już zaczerpnąć powietrza, wargi stawały się coraz to grubsze, bardziej mięsiste, i bardziej obślizgłe, jakby spocone. Patrzyłem jak glisty nabrzmiewają i puchną, ciągle się poruszając. Z coraz to większą siłą próbowałem zmusić się do dalszego wstrzymania oddechu, żeby ten pulsujący szum w uszach trwał, żeby zasłaniał brednie, których nie chciałem słuchać. Szum morza na wstrzymanym oddechu. Jeszcze chwilę, jeszcze jedną chwilę, może te obrzydliwe glisty pękną wreszcie i ten zapchlony gospodarz odejdzie w sromocie, schowa się w tym swoim wiatraku, zwinie chorągiewkę i wszyscy będziemy mogli założyć kąpielówki. Nieme usta ciągle jednak poruszały się, stając się coraz grubsze, większe, jeszcze bardziej niezdolne i obłe. Jeszcze chwila, jeszcze moment. Szum morza, jaki on słodki, jaki przyjemny. Nie byłem nawet świadomy, jak opadam na ziemię, poczułem tylko błogość, która wciągała mnie w nieprzytomny sen. Szum morza, nieprzytomny sen.

Nie popędzali, nie poganiali, nie krzyczeli. Po prostu patrzyli. Uczucie przylepionych gałek ocznych do każdej części ciała było nieznosne. Śliskie, miękkie kulki przytulały się do policzków, czoła, do całej twarzy. Kiedy jedna tylko kreska zmieniała się w mojej minie, gałki szły za nią. Czułem jak te żelowate spojrzenia zostawiają na mnie ślady jak pełznące ślimaki. Stałem oparty o stos desek, równo ułożonych i długich na kilkanaście metrów. Zapach świeżo rżniętego drzewa był jedyną przyjemną rzeczą w zasięgu moich zmysłów. Zarżnięte drzewo pachnie też za życia, lecz ani za życia, ani po śmierci nie gapi się bezczelnie, żyje sobie kwitnie, zasypia, kiedy przychodzi pora i budzi się na wiosnę rano. Inaczej człowiek. Za życia wlepia wścibski wzrok, gdzie tylko się da. Wciska swoje bezczelne ślepie, obmacuje każdy przedmiot spojrzeniem. Unika snu przy każdej okazji, twierdząc, że wyśpi się po śmierci. Biegnie na oślep, a ciągle patrzy, gapi się, aż do śmierci. I ciągle stara się zabić swój smród. Po śmierci wreszcie zamykają mu powieki i dla pewności kładą na nich ciężkie monety. Jakby to nie wystarczyło wkładają go do szczelnego pudełka i zakopują pod ziemią. Bo nawet zarżnięty człowiek po śmierci nie pachnie. On śmierdzi. Ale wreszcie nie patrzy. Zapach drzewa unosił się wszędzie i gryzł w powietrzu ze spojrzeniami żołdaków, a byli wszędzie. Stos desek był schronieniem, zapach drzewa szczypał wścibskie gałki i odstraszał je na bezpieczną odległość. Miałem czekać na kogoś, kto wskaże mi moje miejsce pracy. Stałem we wnętrzu wiatraka-olbrzyma, w jego wielkim brzuchu, który pochłaniał lasy, gryzł je i przeżuwał, wypluwając stosy

desek. Wszędzie słyhać było rytmiczny posuw pił. Widziałem jak wielkie zębate koła napędzały zębate piły, które wgryzały się w każdą pachnącą kłodę podkładaną w ten uśmiech. Kiedy krzyk zawibrował mi w uszach zrozumiałem, że wreszcie dowiem się, co to ta praca, tak wielbiona tutaj przez wszystkich. Jakież to szczęście. Wreszcie. Powinienem być zadowolony. Z wielu rzeczy powinienem być zadowolony. Mówili. Ciesz się, że żyjesz. Mówili. Ciesz się, że nie musisz przez całe życie zmagać się z tą paskudną chorobą. Ciesz się, że nie musisz płacić temu skurwysynowi, tyle co ja. Mówili. Ciesz się, że wtedy nie musiałeś tam zostawać. Ciesz się, że żyjesz. Mówili. Z tego, co mówili wychodziło zawsze na to, że powinienem się cieszyć tylko z tego, że czegoś nie mam, albo, że czegoś nie muszę robić. Cieszyć się z tego, że nie jest się kaleką, bez zbirów na głowie i bez zobowiązań wobec nikogo. Tylko to życie... teraz kiedy już nie żyję... powinienem się z tego cieszyć? Ciesz się, że nie musisz żyć. Powiedzają?

XXXVIII

Stałem z tępo zastygłą twarzą w niebieskim kombinezonie z oczyma kołyszącymi się w takt wielkiej piły. W prawej ręce trzymałem okrągły pędzel, z którego gęstymi kroplami ciekła czerwona farba. Na nogach miałem ciężkie buciory, prawie takie, jak żołdacy, tylko bez wysokich cholew, sięgały tylko do kostek. Prawy z nich cały był w małych, czerwonych kropkach. Obok niego jedna większa plama.

Widocznie stałem już tak dłuższą chwilę. Nie krzyczeli, nie bili, nie poganiali. Aż dziwne, czyżby to miała być wspaniałość pracy, o której każdy niemalże napotkany człowiek wyśpiewywał pod niebiosą, i której czekał z utęsknieniem? Jakże daleko wszedłem w ten las, cudem brak bicia, złotem prawdziwym dzień bez krzyku. Ale czy i ja czegoś podobnego nie szukałem w tym swoim lesie? Gęste krople zaczęły chlapać na nogawkę. Oczy wciąż kołysały się od lewa na prawo, teraz już wydatnie niemrawe, zza współprzymkniętych powiek. Mógłbym przysiąc, że musiałem wyglądać jak seryjny morderca, który właśnie zaspokoił swoją psychopatyczną żądzę. Poniekąd żałowałem, że to nie jest prawda, od momentu, w którym się tutaj znalazłem, miałem ochotę kogoś zamordować. Z zimną krwią, wszystko jedno kogo, wszystko jedno dlaczego, i czy to by coś zmieniło. Żeby chociaż bili, żeby chociaż krzyczeli. Tylko patrzyli. Przez pierwsze kilka dni ciągle oglądałem się za siebie, kręciłem młynki w miejscu jak mały kot, który nie może złapać swojego ogona. Wszystko to, bo czułem jak obce spojrzenia kleją się mi się do pleców, do potylicy, nawet do pięt, przez te ciężkie buty. Buty. Pierwszy raz w życiu miałem na nogach buty, których nie lubiłem, których nie mogłem polubić. Chociaż przez całe życie nigdy nie udało mi się kupić pasujących, to każde z zalem wyrzucałem po latach całych i milionach kroków, kiedy już rozpadały się samoistnie. Chociaż przedmioty same w sobie nie mają duszy, pamięci, czy rozumu, to jednak dzięki nam ożywają i potrafią opowiedzieć własną historię. Porzucone umierają, jak to ciało niemalże. Przeraziłem się, kiedy dotarło do

mnie, że tak właśnie miała wyglądać moja śmierć. Być tylko ciałem. Nie musieli bić, nie musieli krzyczeć, to tylko ciało, które można w każdym momencie wyrzucić.

XXXIX

Po pierwszych godzinach kolejnego dnia zaznaczania na czerwono sęków w pachnącym drewnie desek zawołali na przerwę. Po metalowych schodach weszliśmy długim sznurkiem na pierwsze piętro, a tam długim korytarzem, na którym sznurek zamienił się w bezładną niebieską plamę. Mój prawy but odznaczał się na tym tle jak rana postrzałowa w ciele. Nie musieli mnie napiętnować, nieświadomie zrobiłem to sam. Nieświadomie, to słowo odbiło się głębokim echem w mojej głowie. Na przestrzeni traconych tu dni echo wzmagало się. Coraz bardziej tu pusto, pomyślałem, ślałem, ałem, em. I banał – pustka pustce nierówna. Pustka wybrana, ukształtowana, i pustka narzucona, obła i tępa. Najgorsze było to, że nie chciałem stąd uciekać. Na początku owszem, uciec, ucieczka, plan, morderstwo, samobójstwo, wstręt, bunt przeciwko wszystkiemu. Jedyna przyjemność w nienawiści, ja ich wszystkich, co do jednego!!! Później lekko już przytępiona złość, gdybym tylko mógł to bym ich... przyjemność z świadomości swojej postawy. A później przyjemność z samego obmyślania, jak by to było pięknie, jak wspaniale byłoby, jakich to wspaniałych rzeczy dokonać można by, gdyby tylko... ale co zrobić... A teraz ze zwieszoną głową, z

migającą czerwienią przesuwającą się po płytkach podłogi w rytm kroków - ciekawe co będzie na obiad. Żadnych znajomych, wszyscy rzucali tylko pokątne spojrzenia, badając się nawzajem. Rozmowy toczyły się owszem, rzekłbym nawet, że ci ludzie, kiedy się na nich patrzyło, wydawali się być starymi znajomymi. Poklepywali się po ramionach, uśmiechali się szeroko, ba, śmiali się wspólnie z czegoś, może z jakichś opowiadanych dowcipów. Grupkami zbierali się, to przy dzbanku z dymiącą kawą, to przy stole, to na schodach przy popielniczce. Tematy nie mogły się skończyć, pasja i zacięcie w oczach każdego i każdej z nich świadczyły o prawdziwej woli dzielenia się sobą ze sobą. Wszystko to do momentu, kiedy palce wyjąłem z uszu i naprawdę przekonałem się co czeka świadomość po przyłożeniu szklanki do przeźroczystej ściany tej bańki. Z pustki wybranej i tak hołubionej zbliża się szklanka i nakrywa pewien mały obszar granicy z pustką naleciałą. Wzrok spuszczonej, od czasu do czasu tylko rzucający dla orientacji, gasił pierwsze wrażenie, tłumił i tłamsił, w pewnym momencie wyślizgnęła się ta gadzina i popatrzyłem na to wszystko z większym skupieniem. Niedbałość o słowa, poczuwanie się na zasadzie zaznaczania terenu. Niepotrzebna przestrzeń to ta, która nie ma zapachu. Instruktaż panujących zasad przeleciał mnie na wskroś w ułamku sekundy. Wszyscy nagle się przebieirają. Codziennie. Jak zdjąć siebie z siebie i w dodatku upierać się przy sobie. Lekcja jakaś, czy co, pomyślałem. Głowa tak czasami ma, że sama bez pozwolenia wyrzywa się z głupawym wiązaniem wrażeń. Dziw bierze, że tak mało wiemy o jego konstrukcji. Te twarze, każda tak bardzo inna,

a tak samo spocona, błyszcząca od tego wiecznego polerowania swojej przestrzeni, że tylko chciało się na złość brudnym paluchem przylepić papierowy krzyżyk. Nowa technologia rzygania na siebie w czysty i higieniczny sposób. I taki jebnięty po całym dniu zaznaczania na czerwono sęków siedziałem na przystanku i paliłem papierosa. Czas uciekał jak w dziwnym zegarku. Mała wskazówka na papierosach, duża na autobusach. Może tramwajem. Morze. Kolorowe dachy samochodów przewalały się jak fale wczesnym wieczorem. Ludzie po szyje w wodzie rozmawiali ze sobą, patrzyli w lewo, albo w prawo, zależy z której strony patrzeć. Tramwajem. Tylko gdzie. Wszystko to jak dwa dni minęło. Wymięty jak ostatnia szmata nie byłem pewien już niczego. Tak naprawdę to ciągle nie wiedziałem, czy w końcu umarłem, czy żyję. Ciało cieszyło się, że nie musi ciągle walczyć z nabiegniętymi krwią siniakami, że nie krzyczą, że nie poganiają. Obejrzałem się na boki i przyznałem ciału rację, wzdłuż całej ulicy ani jednego żołdaka. Gdyby jednak głowa była w pełni sił, gdyby cokolwiek w niej pozostało z tego, co kiedyś nazywałem myślą, bez trudu stwierdziłbym, że w tym stadium żołdacy nie są już potrzebni. Jak niewiele potrzeba do życia, mówili w tartaku, żeby tylko praca była. Ależ tu pusto, powiedziałem sam do siebie, patrząc na przechodzące przed moimi oczami ludzkie talie. Oparłem plecy i głowę o szklaną ścianę przystanku i przymknąłem lekko oczy. Tramwajem, tylko gdzie. Do domu. Ty nie masz domu.

XL

Domu nie było, był za to pokój w obskurnej kamienicy przy niezwykle ruchliwej ulicy. Budynek pamiętający zamierzchłe czasy, wydawał się jednak nie dowierzać w to co widzi, trząsł się cały i drżał wobec tej warkoczącej, szumiącej i bzyczącej blaszanej masy przetaczającej się bez ustanku przed jego fasadą. Kiedy szedłem chodnikiem i spojrzałem na front, okna wyglądały jak zmęczone, podkrążone oczyska, odrapany tynk liszajem czasu pokrywał czoło i policzki. Niechybnie wyglądałem podobnie, z tym samym grymasem ciągle pytałem sam siebie – co tu się dzieje?! Po drugiej stronie ulicy stał kolejny trup, wysoki na kilkadziesiąt pięter. Ten jednak był szczególnym okazem rozkładu, oczu nie miał podkrążonych, nie miał ich wcale. Skryte były pod wielką błękitną płachtą ze złotymi gwiazdami. Po chwili przyśpieszonej pracy serca i lęku przed potrąceniem przez któryś z samochodów, znalazłem się po drugiej stronie i podeszedłem do blaszanego ogrodzenia wokół wielkiego trupa. Przez taką blaszaną bramą, ze skoblem zawiniętym w gruby węzeł zardzewiałego łańcucha i kokardą wielkiej kłudy stała tablica, kiedyś pewnie biała, teraz pożółkła z nadjedzoną informacją ileż to milionów i miliardów wydała dobroć najwyższych władców na reanimację trupa, a dalej na wyrównanie szans. Pomiąłem już to słowo, które od jakiegoś czasu za każdym razem usłyszane zgrzytało mi pod czaszką. Podniosłem wzrok na trupa. Wielki błękitny trup w złote gwiazdy. Zawiazali mu oczy żeby nic nie

widział, i żeby nikt jego nie zobaczył. Tych pustych oczu. Zgnić w środku, z piękną skorupką na zewnątrz. Stać twardo, niewzruszenie wobec huku i gwaru, z zamkniętymi oczyma. Kiedy obejrzałem się z powrotem na kamienicę, do której miałem zaraz wejść i spędzić czas do kolejnego dnia z pędzlem w ręku, poczułem śmieszną sympatię do niej. Choć strasznie, to przynajmniej patrzyła, dziwiła się, trzęsła. Uśmiechnąłem się i z tymże uśmiechem przeskoczyłem kilkoma susami zatłoczoną jezdnię.

Zawiniętym szlakiem mokrych schodów wśród odrapanych ścian wspinałem się na drugie piętro. Kable zwisały ze ścian lekkimi półkolami, barierka trzęsła się od samych tylko kroków na schodach. Z piwnicy pod schodami słyszać było gardłowe głosy jakichś lumpów, jak przekomarzają się o jakieś fundusze, do zbawienia koniecznie niezbędne. Trzy sześćdziesiąt, trzy siedemdziesiąt, trzy czterdzieści. Podeszwy moich butów zostawiały brunatne gwiazdki na schodach, wszędzie dał się odczuć lekki fetor zaduchu i stęchlizny. Po cholerę w ogóle ktoś myje te schody, jakby to miało zrobić jakąkolwiek różnicę... Po krótkiej szamotaninie z zamkiem, wszedłem do mieszkania, które w zasadzie wyglądało tak samo jak klatka schodowa, tylko podłoga nie była myta, i to przez długi czas. Po kilku skrzypnięciach parkietu schowanego pod brudną wykładziną znalazłem się w moim pokoju. Duży, przestronny, z dwoma potężnymi okiennicami. Szafa, stary piec kaflowy i wynędzniały materac. Zdarłem z siebie dwie warstwy szmat, butami rzuciłem w kąt, i ociężały runąłem na materac. Co tu robić... Wpatrzony w sufit, zastanawiałem się, czy gdzieś w tym mieście znajdzie się

jeszcze moja myśl. Niby czułem jeszcze jej resztkę w sobie, ale był to tylko osad, który nie dawał się wypłukać najrozmaitszymi wynalazkami. Wieczne procenty, poranne procenty, makrela w sosie pomidorowym i delicje zawijane w żółty ser, popite popołudniowym procentem, który procentować miał wieczornymi procentami. Wirujący bruk ulic, brunatny skrzypek bez nóg, strome schody w dół, piwnice pełne masowych mord, ślizgających się jedna o drugą, procent nocny dla daremnej próby zmycia tego śluzu z siebie. Poruszające się usta, setki warg, czerwonych, różowych, białych, spierzchniętych, wykrzywionych i tych trzęsących się za następnych rogiem. Światła, błyskające wystawy, blond loki krzyczące coś do napiętych mięśni, zielone rękawy wojskowego płaszcza utykającego żebraka. Rząd ławek z dwoma, trzema głowami każda, na wpół dławione śmiechy i przekleństwa. Ubrudzone buty, szorstka i wilgotna kora parkowego drzewa, azymut zawieszony na sznurze latarni. Porzucone rowery, obtłuczone gzymsy i parapety. Pochylone głowy wtulone między ramionami. Warczące szyby ultrafioletowych klubów. Ludzkie zwłoki i smród szczyń w bramach. Procent nad ranem, przymknięte oczy, rozmazane zataczające się postaci. Osiemdziesięcioletnia wróżka z brązowym wazonem i rosnącymi w nim parasolkami. Gadające głowy oparte o ściany kamienic. Drgające struny rozstrojonej gitary z dziesiątkami krzykliwych naklejek. Gardła pełne dymu i urywanych refrenów. Pełzająca niepamięć kurczowo trzymająca się sznura latarni. Niedopity procent poranny. I tak w kółko. Podniosłem się z barłogu, linia moich oczu lekko wychyliła się nad parapet. Po wielkim jajowatym

kółku przewalały się masy samochodów. Czerwone, zielone, pomarańczowe. I tak w kółko. Czerwone przez cały tydzień, czerwony but przez cały tydzień, czerwien w środku i kotłowanina, aż się to wreszcie skończy. Osad w środku zasycha, może wreszcie spęka i jakaś jego odrobina wykruszy się, rozpuści i doda sił. Ale cóż to, czerwone w zielone, jajowate kółko zaczyna jajowacić się i wyprężyć naprzemian, akcje zwyżkują, procentowe kółko zaczyna się nakręcać i... procentować. Osad zamiast wypłukiwać się czy wykruszać, wiąże swą warstwę jeszcze mocniej, poci się i zabłaca tylko lekko na wierzchu i pozostaje niewzruszony. Gdzieś tutaj musi być moja myśl, sęk w tym, że jedynym sposobem żeby ją znaleźć, jedynym wyjściem może okazać się wyskoczenie z jajowatego kółka. Znaleźć przerwę między cyklami, i odpowiednim momencie wyskoczyć. Może na pomarańczowym? Może dokładnie wtedy, kiedy przez ułamek sekundy będzie żółty!? Czerwone. Jutro znowu sęk.

XLI

Z duszą na ramieniu klęczałem przy oknie i nerwowo wpatrywałem się w światła. W głowie jakiś pieprznity zegar tykał nachalnie z częstotliwością ruchu skrzydeł jakiego owada. Nie dało się odróżnić pojedynczych uderzeń, czułem tylko jednostajny masyw, który miażdżył mi skronie. Musiałem złapać to stworzenie za maleńkie odnóże, ale tylko w tym jednym, odpowiednim momencie.

Czerwone. Stoją, warkoczą, czułem jak gdzieś tam w środku zaczyna się kotłować, pot wystąpił mi na czoło. Pomarańczowe, warkot się nasilił, a jajowate kółko zaczęło trzeszczeć i skrzypieć, zaraz ruszy. Bałem się tego momentu, tej beznadziei, kiedy nic już nie jest w stanie zatrzymać tego pieprzonego głodu, kiedy stopy same ześlizgują się ze schodów, ręce naprędce zapinają zamek kurtki, szybciej, szybciej procenty czekają, jajowate koło fortuny potrzebuje ofiar. Zielone, ruszyli. Owad łopotał skrzydłami ze zdwojoną siłą, kąciaki oczu i ust zmarszczyły mi się do granic, oczy nie mogły się skupić na jednym punkcie, wytrzymaj, wytrzymaj jeszcze! Jajowate koło zaczęło obracać swój bebech, czułem jak wtacza mi się na głowę, nakrywa całe ciało. Mamrotałem coś pod nosem, sam nie wiedząc co, ręce nerwowo stukwały o parapet, stać, do ciężkiej cholery stać!!! Czerwone. Teraz albo nigdy, kółko zatrzymało się, ale bebech ciągle pulsował. Przetarłem oczy, obraz jakby się nieco wyostrzył, choć czerwone wciąż majaczyło tylko, wisząc nad ulicą. Gdzieś zza chmury zaczęło niemrawo wychodzić słońce, ściany kamienic gdzieś dalej pojaśniały i z brunatnych przybrały barwę dziwnego beżu. Teraz albo nigdy, musi się udać. Pomarańczowe, warkot się nasilił, a przebrzydły owad w mojej głowie już przygotowywał się, by ukłuć. Teraz albo nigdy, nie wytrzymam następnego okrążenia, musi się udać. Zaciśnąłem szczęki aż do bólu, otworzyłem okno i... kiedy już myślałem, że to koniec, że zaraz już będzie zielone, a ja wypadnę przez okno wprost do tego ścieku, który już tylko czekał, żeby mnie wciągnąć, słońce całkiem pozbyło się chmurnej szaty i rozlało się na wszystko dokoła. Widziałem

jak spada na pomarańczowy, topi go i rozpala, ten skrzył i jaśniał, aż zobaczyłem upragnioną żółtą kulkę. Teraz albo nigdy, wyciągnąłem rękę najszybciej jak potrafiłem, w tym samym momencie zamykając oczy. Niech się dzieje co chce. Niech to wszystko wreszcie przepadnie, niech to wszystko szlag trafi, jeśli to tylko sen, a ja znów po otwarciu oczu, znajdę siebie połkniętego w jajowatym kole, niczego nie da się już odzyskać. Uciekaj, uciekaj! Teraz albo nigdy, teraz albo nigdy... Otworzyłem oczy i zaraz je zmrużyłem, dokoła było pełno słońca, ciepłego żółtego. Stałem na środku brukowanej ulicy, która biegła lekkim spadem w dół. Ćwierkanie wróbli gdzieś w bramie, poza tym spokój i cisza. Powietrze ani drgnie. Słyszałem swój oddech, który całkiem jeszcze się nie uspokoił. Uświadomiłem sobie, że ściskam coś kurczowo w prawej ręce. Ciągłe jeszcze dysząc, otworzyłem dłoń, a na niej leżała mała żółta kulka. Spojrzałem jeszcze raz przed siebie. Jakiś stary gruchot po jednej stronie ulicy. Po obu jej stronach krzywe linie starych kamienic. Gruchot stał w cieniu, a naprzeciwko niego, stały skąpane w słońcu kawiarniane parasole i kilka stolików z krzesłami. Przy jednym ktoś siedział i popijał z filiżanki. Nie widziałem dokładnie, ale był to chyba jakiś starszy facet. Nie wiedziałem gdzie jestem, ani co dalej robić, było mi jednak dobrze. Na pewno lepiej niż jeszcze przed chwilą. Schowałem kulkę do kieszeni i poszedłem w dół uliczki. Moje kroki wypełniały ciszę, jednak nie było to nachalne, wesole gwarzenie wróbli miękko zlało się ze stukotem moich podeszew o bruk. Ciągłe niepewny i zdezorientowany obejrzałem się za siebie. Kilkaset metrów

za mną ktoś na balkonie na pierwszym piętrze rozwieszał pranie. Białe prześcieradła rozbijały światło na całej ścianie domu. Było tu naprawdę przyjemnie. Moje wcześniejsze przypuszczenia co do faceta potwierdziły się. Starszy jegomość w filcowej marynarce i słomkowym, stylizowanym kapeluszu siedział przy filiżance kawy i palił papierosa. Kiedy tak się do niego zbliżałem obrócił do mnie twarz, którą zakrywały wielkie okulary. Przyglądał mi się, to pewne. Włożyłem ręce w kieszenie, a prawą z nich ścisnąłem żółtą kulkę. Lekki spad uliczki zachęcał do niespiesznego kroku. Teraz uciekać, ale powoli. Teraz uciekać, powoli i w dół. Mijając starszego przy stoliku, nie patrzyłem już na niego. Z lekko uśmiechniętą mordą staczałem się w dół, uliczka powoli wciągała mnie, chciałem zobaczyć co jest za zakrętem. Idąc tak i stukając miękko butami o bruk, w pewnym momencie usłyszałem echo moich kroków. Wtór ten jednak nie mieszał mojego rytmu, równie miękko komponował się z całą ciszą i całą muzyką tego miejsca. Kiedy obróciłem się przez lewe ramię, zza prawego odezwał się głos.

XLII

Powiedz synku, ale tak jak na świętej spowiedzi, o co zabiegałeś? Chciałem wypluć swą pamięć i zassać nowe, czyste powietrze, a choćby i brudne i pogmatwane, ale nowe. Chciałem skurczyć się w sobie do tego stopnia, by resztki mej pamięci zgnieść w małą kulkę, którą łatwo

można byłoby zgubić, lub wprost wyrzucić. Tak wprost wyrzucić? Na oczach tych, których nie chcesz pamiętać? Nie będę udawał, że mnie to nie obchodzi, ale to teraz... zabiegałem o to również, by jednym szybkim ruchem pozbawić się tych obrazów, ramy połamać i spać, zdeptać wreszcie te mozolnie pieszczone, odkurzone sprzęty, by rzutem niedbałym, bądź dziurą w kieszeni nie móc się więcej przejmować. A czymże ty się, synku, przejmujesz? Przejmuję się tą czarną godziną każdego dnia, kiedy zgrzytając zębami zabijam się we własnej głowie, że już nigdy więcej wreszcie nie zobaczę w lustrze tej samej ohydnej mordy, tego zmęczenia, wiecznego ubolewania, wiecznie ślepej nadziei, że od jutra, że to wszystko jeszcze tylko dzisiaj. Ale nowy każdy dzień i tak nastaje. Sam synku, mówisz, że to nowy dzień, czemu więc od razu spisujesz go na straty? Bo morda jest ta sama, ta morda, chociaż tak ohydna, żyje, nie umiera, tak jak w dniu niby ostatnim miałyby umrzeć, ona po staremu patrzy, i to nawet nie lustro, nie szyba, ale wzrok obcych ludzi po staremu reaguje. Niby obcych, ale patrzą, jakby znali. Ale, synku, przecież wmówiłeś to sobie, sam podtrzymując tę poczwagę w sobie, sam patrzysz, sam wyglądasz tak jak wczoraj... Bo pamiętam! Bo wciąż pamiętam!! Czasem kiedy dzień, niby ostatni, kończy przesączenie się swoje przez firanki, myślę, że to już ostatnie krople, niemal prawdziwie czuję, jak wraz z tymi kroplami zapominam. I tak faktycznie jest, kiedy zasypiam, nie ma już niczego. Nie widzę siebie, kiedy śpię, ale wiem, że się uśmiecham. Bo kiedy pamiętam, nie uśmiecham się wcale. Właściwie to nie pamiętam, jak się uśmiecham! Synku, widzę to w twoich oczach, nie rób tego,

to nie jest droga, przez niepamięć szczęścia zabijesz wszystko i wszystkich, nawet siebie. Siebie, którego chcesz zapomnieć i jakiegokolwiek innego. Cóż mam robić zatem, jedyne co wiem naprawdę, jedyne, czego mogę się chwycić to to, że zmiana jest mi potrzebna jak powietrze. Ale to tak mało, że ledwo jedną dłonią mogę się uczepić. Jestem słaby, żyły prężę, krzyczę, zgrzytam zębami, nie ustąpić, wytrzymać, ale co? Po chwili znów spadam do mordy, do pamiętania... A nie pomyślałeś, synku, żeby kogoś poprosić o pomoc? Ja wiem, ty byś wszystko sam, tyś zawsze najmocniejszy, uparty, ale przecież możesz, jeśli nie w objęciach pamięci, to na jej barkach, ramię w ramię wygrzebać się z tej mordy, może ktoś tak jak ty chce ukłuć potwora w podniebienie, żeby wreszcie zaprzestać marzeń i płochych imaginacji, że gdyby było inaczej, że jakby się dało, że wszystko by się dało, gdyby nie ta morda. Czy ty czasem, synku, najzwyczajniej w świecie nie boisz się tej ucieczki na zewnątrz? Czy nie przeraża cię czasem, że zakrztusisz się tym czystym powietrzem, że płuca twoje, tak już przyzwyczajone do zgnilizny, odrzucą ten nowy świat. Głowa nie pozna już bo zapomniała, więc odrzuci tę myśl nowego życia jak obce ciało. I tak wreszcie boisz się, że poza nowym światem, który może cię odepchnąć, nie będziesz mógł pogodzić się ze swoim życiem. To dlatego chcesz zapomnieć! Takiej zmiany chcesz? Ale cóż to za zmiana, kiedy wszystko zapomnisz, to jaką poczujesz różnicę? Czy pustką chcesz zakryć rozdarcie? Synku, można przestać wspominać, ale nigdy, przenigdy nie wolno zapomnieć! Inaczej to nowe twoje życie, ta zmiana, co, jak mówisz, powietrze jest ci potrzebna, będzie się równać tej

martwocie szuflady, milionom zabarykadowanych ciasnych głów, którym wszystko jedno, co dzieje się wokół, co działo się za nimi. Chyba miałeś już okazję się przekonać, jak wychudła jest już ta świnia, którą wszyscy, jak to się teraz mówi, doją. Takiego chcesz nowego życia? Zapomnieć, zabić własną myśl, a wraz z nią wszystko, wszystkich, siebie?

XLIII

Nie zostanę tu ani chwili dłużej. Ani jednego ugryzienia i ani jednego pnia więcej. Nie będę się z tego cieszył, bo tak mówili. Obmyślę plan, taki, którego nie wymyślił jeszcze nikt, bo plan ten na oczach wszystkich stworzony zostanie, nalepi się na wszystkich tych gałkach wszędobylskich, i nie zdąży nawet zakrzepnąć, zgłucieje tylko trochę, ale zanim stwardnieje, mnie już nie będzie. W chwili nieuwagi żołdaka pożre wielkie koło zębate, wciągnie go jak kłodę, i nawet jeśli miałby pachnieć, niech stracę! Mnie już tutaj nie będzie, krzykliwe oślinione wargi pożarte zostaną przez stalowe zębiska kołyszącej się piły, która wiecznie uśmiechnięta rozdrobi je jak dżdżownicę. I jeśli z każdej cząstki mięsistej miałyby nowa glizda się urodzić, niech stracę! Mnie już tu nie będzie. Kopniakiem drzwi otworzę, wcześniej dłonią po desce tylko przejadę i twarz w pachnące wióra włożę, każde oko na drodze mojej nimi zasypię. Głowę jeszcze zadrę do góry, żeby popatrzeć na

ramiona wielkie obracające się wkoło, szmatę niebieską zedrę i popatrzę w słońce. Oczy swoje zamknę na chwilę, uszy zamknę na chwilę. Głowę otworzę. Resztkę wiór z rąk wypuszczę. Poruszam palcami. Tymi u rąk i nóg. I tak szedł będę plecami do przodu, palcami u rąk o uda stukając. Oczy otworzę, to zamknę, a co otworzę, wiatrak coraz mniejszy będzie się robił. Łapska wielkie w rączek obroty, już prawie niewidzialne. Nie sypiąc już gałkom w żrenice, strzępię tylko co czas jakiś kilka z pleców, a niech stracę, niech patrzą! Mnie już tutaj nie będzie. Do portu jakiegoś dojdę w końcu, do plaży, i kiedy na kostkach fałę przyjemną poczuję, obrócę się i popatrzę przed siebie. I jedno tylko oko zobaczę. Czerwone, spokojne, które wraz ze mną szło, żeby na linii wody poziomej się położyć, na spokojnie porozmawiać, nie topić, nie smażyć, tylko ciepłem uraczyć. Na żółtym piasku się ułożę, kostki z wody wyjmę i oczy zamknę, jak to jedno zasnę. W nocy śnił będę o bruku rozpalonym i stoliku na dwoje. Z miękką paczką w kieszeni koszuli. O leniwych godzinach. O leniwych pomysłach. O słodkim dymie. W południe odpływa statek. Poczekam jeszcze chwilę, leniwą chwilę. Może pójdę na molo, posiedzieć na pachnących, rozgrzanych deskach. Nogi spuszczać w dół i oprę brodę na dłoniach, a dłonie na poręczach. Ten statek już widać, mały punkcik na horyzoncie. Poczekam jeszcze chwilę. Zapalę jeszcze. Z punkciku dymek. Na horyzoncie. Na statku też na pewno ktoś pali. Przymrużę oczy. Jak dobrze. Do granic. Na horyzoncie. Czerwony punkcik jeszcze widzę, czerwony punkcik i dymek. Może to znajomy punkcik. I też pali.

XLIV

Opisz, opisz wszystko, co widziałeś, ja byłam tylko snem. Nie myśl sobie, że byłam prawdą, nie knuj, nie rozrabiaj, nie chwal się, zatrzymaj to wszystko dla siebie, ale opisz. Zniknę niedługo, będziesz sam. Na tym statku jesteśmy we dwoje, ale dokładnie wiesz, gdzie płyniemy. Mnie tam nie będzie. Ciebie też, ale ty o tę jedną chwilę będziesz tam dłużej, sam. Nie bój się, prawda, nikt ci tego nie opowie, bo każdy tam sam. Ale nie myśl też, że to przeze mnie. Gdyby nie ty, mnie też by nie było. I gdyby nie ja, ty też byś nie istniał. To już nie byłbyś ty. To już nie byłabym ja. Ale o tę jedną chwilę się różnimy. To ty się przekonasz, czy jest na co liczyć tam... Wychowałam cię jak syna, chociaż urodziłam się w tobie. Widziałam wiele, widziałam ciebie, dyskutowałam z tobą, nienawidziłam cię, kochałam cię, oszukiwałam cię, wyparłam się ciebie, trzymałam cię za rękę. Sypiałam z tobą. I choć nieuchwytna jestem, to związana jestem z tobą do końca. Teraz już wiesz, że to był moment. Moment, kiedy ja ulatuję, całe twoje życie przelatuje przed oczyma wyobraźni. Nie zamykaj jeszcze oczu, popatrz na mnie jeszcze, jeszcze raz. Widzisz? To właśnie to spojrzenie, zawsze byłam twoja, wybaczone grzymasy, wybaczone udawanie... ale to wszystko twoja wina, ty wiesz. Urodziłeś mnie, wychowywałeś, prawda, byłeś mi wierny, ale czasem mi ciebie brakowało... bezsensownie zatapiałeś się w innych, dokładnie wiedząc, że to nie ma sensu. Byłam wszystkim, czym chciałeś, tylko

ty nie byłeś wszystkim, czym chciałam... to nawet zabawne, ja zawsze byłam taka sama, ty też, ale coś jednak kształtem takim dziwnym w tobie się działo, nie wiem jak to nazwać... czas? Tak, możliwe. Nawet w twoich oczach, nie łudź się, ja to wiem przecież.